

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 51 (544)
20 GRUDNIA 1970 R.

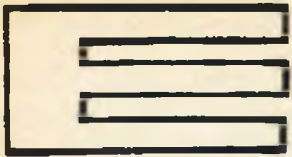
„Spotkanie w Polsce”
Czy Wikingowie odkryli
Amerykę?
Serce dla Zośki

CENA 2 ZŁ



IKONA – MATKA BOSKA Z DZIECIĄTKIEM

Fot. B. ROMANOWSKI



**WANGELIA ŚW. WG
JANA 3, 1-6**

Było to w piętnastym roku rządów Tyberiusza Cezara. Gdy Poncjusz Pilat był namiestnikiem Judei, Herod tetrarchą Galilei, brat

jego Filip tetrarchą Iturei i kraju Trachonu, Lizaniasz tetrarchą Abilenu; za najwyższych kapłanów Annasza i Kajfasza skierowane zostało słowo Boże do Jana, syna Zachariasza, na pustyni. Obchodził więc całą okolicę nad Jordanem i głosił chrzest nawrócenia na odpuszczenie grzechów, jak jest napisane w księdze mów proroka Izajasza: Głos wołającego na pustyni: Przygotujcie drogę Panu, prostujcie Jemu ścieżki; każda dolina niech będzie wypłniona, każda góra i pagórek zrównane, drogi kręte niech się staną prostymi, a wyboiste drogami gładkimi. I wszyscy ludzie ujrzą zbawienie Boże.

KONIECZNOŚĆ ODKUPIENIA

IV NIEDZIELA ADWENTU

Przed nami tekst Ewangelii świętej przeznaczonej na ostatnią niedzielę adwentu, w której mowa o działalności św. Jana, o przygotowaniu serc ludzkich na przyjęcie Chrystusa. Końcowe zdanie dzisiejszej perykopy brzmi: „I wszyscy ludzie ujrzą zbawienie Boże.” (Lk. 3, 6). Słowa te nabierają szczególnej wagi wówczas, kiedy stajemy w bezpośredniej bliskości tego wielkiego wydarzenia, jakim jest Narodzenie Pana. Napawa nas ono wielką radością, a równocześnie stawia przed nami wiele pytań, z których zasadniczym jest: dlaczego Słowo musiało stać się ciałem, dlaczego Chrystus musiał przyjść na ziemię, czy nie było innej możliwości odkupienia?

Kiedy starzec Zachariasz śpiewał hymn dziękczynienia za narodzenie Jana Chrzciciela, poprzednika Pańskiego, porównał okres wyczekiwania na przyjście Chrystusa Pana do nocy, do ciemności. Rzeczywiście, okres od grzechu pierwotnego do przyjścia Zbawiciela to wielki mrok winy, kary i śmierci.

Jest to mrok winy, bo oto przez grzech człowiek zwrócił się przeciwko Bogu. Zlekceważył Jego przykazania, powiedział buntowniczo: „Nie będę służył”. Tym samym człowiek odmówił Bogu czci, jaka Mu się należy, a zaprzędał się w niewolę grzechu. A jaki wynik tego buntu? Stałe udrczenie i ciągle niepokojne sumienia.

Jest to mrok kary, bo grzech jest naruszeniem praw danych przez Boga. Kiedy ktoś np. kradnie, to nie tylko łamie przykazanie Boże, i jakby oddał się od Boga, ale jednocześnie zwraca się nadmiernym pragnieniem swej duszy ku jakiejś rzeczy, po którą sięga wbrew porządkom prawa Bożego. W każdym grzechu dzieje się podobnie. Odwraca się człowiek od Boga, by osiągnąć wartość wątpliwej jakości. Opatrzność Boża, która rozciąga swą opiekę nad wszystkimi stworzeniami, utrzymuje wszystko w porządku. Gdy człowiek przeciwko temu porządkowi wystąpi za-

wsze musi spłacać na niego karę, wszystko jedno czy w tym czy też w przyszłym życiu. Tu mieści się źródło cierpienia i niepokoju, jakie trapią ludzkość oraz wizji wiecznego ukarania.

Ciemność, jaka zapanowała po grzechu pierwotnym, nazwalismy mrokiem winy i kary. Skoro zaś jest mrokiem winy i kary, to zabija życie nadprzyrodzone i pozabawia nadziei, a więc jest mrokiem śmierci. Zmarło w człowieku życie łaski uświęcającej. Mrok śmierci stał się źródłem tęsknoty za życiem w Bogu.

Rozumiemy, że dla ludzkości udrczonej mrokami śmierci, kary i winy najważniejszą sprawą było — jak się wydostać z tych mroków, jak dojść do światła? Przez grzech wszedł człowiek w mrok śmierci. Zabił w sobie nadprzyrodzone życie. I tak, jak to w życiu naturalnym obserwujemy — że człowiek może zabić, zniszczyć, lecz nie może wskrzesić, ożywić — podobnie, w życiu nadprzyrodzonym, człowiek nie jest w stanie przywrócić sobie łaski uświęcającej. Człowiek sam dobrowolnie zerwał więź z Bogiem, utracił wielki skarb jakim jest łaska, ale nie jest w stanie o własnych siłach do pierwotnego stanu dziecięctwa Bożego powrócić. Musi przyjść ktoś, kto będzie dawcą życia. Wielki Majestat Boży może przeprosić tylko równy Mu Syn Boży.

Przez grzech wszedł człowiek w mroki kary. Ale choć zaznano w Starym Testamencie różne sposoby uwolnienia się z ciężaru kary, to przecież Żydzi wiedzieli, że jeśli mogą uwolnić się od kar ludzkich, to jednak nie mają żadnej siły, by bez Bożej pomocy uwolnić się od kary Bożej. Od ludzkich kar zwalniano się najczęściej okupami. Prawo przewidywało, że czasami, nawet w tych wypadkach, gdy ktoś był skazany na śmierć mógł złożyć okup i w ten sposób ocalić swe życie. Lecz czy najwspanialszy nawet okup może być wystarczającym zadośćuczynieniem Bogu za grzech? Czy stworzenie może

składać okup, gdy wszystko jest Boże i przez Boga zostało powierzone człowiekowi? Musiał człowiek znów przyznać się do swej bezsilności, a wsparty Objawieniem wyznawał: dokąd nie przyjdzie sam Bóg i nie da życia swojego na okup za wielu (Mt. 20, 28), dotąd człowiek pozostawać będzie w mrokach kary.

Przez grzech wszedł człowiek w mroki winy. Sam wszedł w te mroki, lecz nie mógł o własnych siłach z tych mroków się wydostać. Sam bowiem obraził Boga obrazą w pewnym sensie jakby nieskończoną, bo obrazą odmierzoną dystansem między wielkością Bożego nieskończonego majestatu, a małością grzesznej istoty ludzkiej. Wszelkie zaś ludzkie przeproszenia były tylko ludzkimi ograniczonymi, skończonymi wysiłkami, które nie mogły go oczyścić z ciężkiej na nim winy. Przeproszał więc Boga, składając Mu przebiegane ofiary. Winę swą przelewał jakby na inne stworzenia, które zabijał na znak, że za winy swoje powinien oddać życie. Trzeba jednak ofiary nieskończenie doskonałej, by ta wynagrodziła nieskończonemu Majestatowi Boga ludzką winę. Musiał więc człowiek wyznać, że dopóki nie wkroczy tutaj Bóg sam, dopóty człowiek pozostawać będzie w strasznych mrokach winy.

Tylko Bóg może człowieka uratować z mroków winy, kary i śmierci. Jednocześnie za winy człowieka musiał złożyć okup przedstawiciel ludzkości. Oto Bóg połączył w jednej osobie godność Bożą z naturą ludzką. W ten sposób przedstawiciel ludzkości stał się uzdolniony do złożenia obrazonemu Majestatowi Bożemu okupu o wartości nieskończonej.

Ten okres dziejów ludzkości, od grzechu pierwotnego do przyjścia Zbawiciela, był wymowną i bolesną lekcją, mówiącą jak straszne są skutki grzechu i jak wielka niemoc i słabość człowieka. Bóg, który zawsze miłuje ludzi, chciał te smutki i mroki oczekiwania na

przyjście Odkupiciela rozjaśnić jakimś światłem. Rozjaśnił tym, co było najważniejsze i najradośniejsze — Obietnicą Zbawiciela. Już w pierwszych chwilach po grzechu pierwotnym powiedział naszym prarodzicom, iż przyjdzie niewiasta, która będzie rodzicielką Zbawiciela. Abrahamowi dał radosną obietnicę mówiącą, iż z jego pokolenia zrodzi się Chrystus. Gdy Jakub umierając, zgromadzi dwunastu synów swoich, będzie im błogosławił i w Bożym imieniu powie, że tak długo będą panowali królowie z pokolenia Judy, dopóki nie przyjdzie Mesjasz na ziemię.

By podtrzymać wiarę w przyjście Odkupiciela, zapowiedział Bóg przez proroków cały szereg szczegółów z życia Mesjasza. Prorok Micheasz przepowiedział miejsce urodzenia: „Ty, Betlejem... z ciebie wynijdzie wódz... a wyjście Jego ode dni wieczności”. (5,2). Dlatego, gdy przybędą Mędrcy ze Wschodu i szukać będą nowo narodzonego Króla, Herod zawoła kapłanów i uczonych w piśmie i zapyta, gdzie miał się narodzić Mesjasz. Oni zaś odpowiadają, że w Betlejem. Inny prorok, Izajasz przepowiedział, że będzie Matką Zbawiciela: „Oto Panna pocznie i porodzi syna i nazwie imię jego Emanuel — Bóg z wami”. (7, 14). Ten sam prorok zapowiedział, że Chrystus Pan będzie czynił cuda, że będzie cierpiał, by cierpieniem i męką uleczyć nas z grzechu. (35, 4). Podobnie prorok Zachariasz uczył o Zbawicielu i podaje wiele szczegółów.

Kiedy wspomnimy praojców naszych, którzy w mrokach winy, kary i śmierci tęsknili do wybawienia, do światła — z radością musimy sobie uprzytomnić, że jesteśmy synami światła, że światłość już przyszła na świat i powołała nas do tego, byśmy nie znali co to mrok śmierci, kary i winy. Chrystus — światłość świata mroki te zwyciężył. I każdy kto się z Nim złączył, przez Niego i dzięki Niemu w mrokach tych trwać nie będzie.

GRUDZIEŃ — 1970

20 N	21 P	22 W	23 Ś	24 C	25 P	26 S
DOMINIKA, BOGUMILY	TOMASZA, SEWERYNA	ZENONA, HONORATY	WIKTORII, SŁAWOMIRY	ADAMA I EWY	BOŻE NARODZENIE	SZCZEPANA, DIONIZEGO

STAROKATOLICY WZYWAJĄ DO ZWOŁANIA SOBORU POWSZECHNE- GO

Niemal w regularnych odstępach czasu pojawia się w ostatnich latach myśl o zwołaniu wszystkich Kościołów świata na wielki sobór powszechny, podczas którego miało się zastanowić nad jednością Kościołów.

Szczególną aktywność w sprawie zwołania takiego soboru przejawiają środowiska starokatolickie.

Arcybiskup Utrechtu Andreas Rinkel, oraz starokatolicki biskup Haarlemu i Deventer przedstawili w wydawnym niedawno liście pasterskim, jak wyobrażają sobie taki sobór.

W pierwszym rzędzie uczestniczyłyby w nim Kościoły: Prawosławny, Anglikański, Rzymskokatolicki i Starokatolicki. Zdaniem autorów listu pasterskiego, nie można by również pominąć w planach zwołania soboru Kościołów Reformacji (ewangelickich), chociaż w stosunkach z nimi wylaniają się trudności teologiczne i praktyczne.

KARDYNAŁ WILLEBRANDS O SYTUACJI EKUMENI- CZNEJ W LATACH 1969-1970

Przewodniczący watykańskiego Sekretariatu do Spraw Jedności Chrześcijan, kard. J. Willebrands opublikował ostatnio w trzech kolejnych numerach zachodniemieckiego rzymskokatolickiego biuletynu informacyjnego „Katholische Nachrichtenagentur” sprawozdanie na temat sytuacji w ruchu ekumenicznym w latach 1969-1970 (nr 42, 43 i 44 z 28.X, 4.XI i 11.XI br.).

W sprawozdaniu tym kardynał Willebrands pisze m. in.: „Konkretny i daleko idący przykład praktycznej działalności ducha ekumenicznego jest do odnotowania w stosunkach z Kościołami Starokatolickimi. W czerwcu ubiegłego roku Szwajcarska Konferencja Biskupów złożyła wniosek w Rzymie w sprawie zmiany ustawodawstwa wobec Kościoła Chrześcijań-

skokatolickiego w Szwajcarii (jak wiadomo, tak nazywani są tam starokatolicy) w zagadnieniach interkomunii i małżeństw mieszanych. Do wniosku tego biskupi włączyli niemal wszystkie propozycje, które w październiku 1968 roku opracowali członkowie Starokatolicko - Rzymskokatolickiej Komisji w NRF, Holandii, Austrii i Szwajcarii podczas konsultacji odbytej w Zurychu. Nasz Sekretariat przekazał dalej tę petycję, z gruntownym poparciem, Ojcu Świętemu. Można mieć nadzieję, że wkrótce zapadnie decyzja”.

PRZYGOTOWANIA DO SOBORU WSZECH- PRAWOSŁAWNEGO

W pierwszej połowie marca 1971 roku w Centrum Patriarchatu Ekumenicznego w Chambesy k. Genewy odbędzie się kolejne posiedzenie Komisji Międzyprawosławnej poświęcone przygotowaniu przyszłego Soboru Wszechprawosławnego.

W skład komisji wchodzi delegaci — po jednym, z każdego Kościoła Prawosławnego, biskupie lub kapłanie, któremu pomocą służy ekspert. W razie konieczności każdy Kościół może jeszcze zaprosić innych teologów-specjalistów. Komisja Międzyprawosławna ma sformułować prawosławny punkt widzenia na wszystkie problemy, którymi zajmie się przyszły sobór.

PRAWOSŁAWNY BISKUP KRYTYKUJE PRASĘ RZYMSKOKATOLICKĄ

Grecko-prawosławny arcybiskup Londynu, Atenagoras wypowiedział ostatnio wiele krytycznych słów pod adresem Kościoła Rzymskokatolickiego na temat wprowadzenia w życie decyzji II Soboru Watykańskiego w sprawie kolegialności urzędu Piotrowego.

W sprawozdaniu złożonym przed Synodem Patriarchatu w Konstantynopolu, Atenagoras wskazał na szereg publi-

kacji w „Osservatore Romano”, pisanych przez znanych kardynałów Kurii Rzymskiej, które zajmują się prymatem jurysdykcyjnym papieża nad całym Kościołem, prawami biskupów i małżeństwem kapłanów. Arcybiskup Londynu nazywa te artykuły „jurystycznymi, sofistycznymi i pedantycznymi”.

Poza tym, powołując się na publikacje zamieszczone w rzymskokatolickim czasopiśmie „Nouvelle Revue Theologique”, wydawanym w Lowanium, wyraża on powątpiewanie, czy w rzymskokatolicyzmie reprezentowanym przez papieża Pawła VI pozostał praktycznie jeszcze duch Jana XXIII i II Soboru Watykańskiego.

BRYTYJSKA RADA KOŚCIOŁÓW POPIERA PROGRAM ANTYRASOWY

Brytyjska Rada Kościołów, po czterogodzinnej ożywionej debacie wypowiedziała ostatnio 59 głosami przeciw 5, przy 6 wstrzymujących się od głosu — swe „całkowite poparcie” dla Programu Zwalczenia Rasizmu, opracowanego i uchwalonego przez Światową Radę Kościołów.

RENOWACJA KLASZTORU I ROZBUDOWA SŁYNNIEJ BIBLIOTEKI W ALEKSANDRII

W Aleksandrii postanowiono niedawno poddać renowacji stary kościół patriarchów pw. św. Sawy. Kościół ten, którego ostatnia przebudowa została podjęta w 1687 roku, został zbudowany w r. 889 na resztkach bazyliki z V stulecia i do r. 990 był grecko-prawosławną katedrą patriarchów Egiptu. Godność ta przeszła potem na kościół pw. św. Marka w Kairze. Od owego czasu świątynia ta stała się kościołem klasztornym.

Poza tym rozpoczęto też rozbudowę ponad 1000 lat liczącej biblioteki Patriarchatu która wśród wszystkich centrów prawosławnych — nie

licząc klasztorów — wykazuje się najbogatszymi zbiorami rękopisów i starodruków i obejmuje ok. 40000 tomów. Do 1928 roku znajdowała się ona w Kairze. Obecnie po raz pierwszy sporządzony zostanie indeks rzeczowy i autorów, przy czym uwzględni się również fachowe wyrażenia teologii ewangelickiej i rzymskokatolickiej.

PREZYDENT ŚFL POPIERA PONOWNIE ZWALCZANIE RASIZMU

Zdaniem prezydenta Światowej Federacji Luterńskiej, prof. Mikko Juvy, decyzja Światowej Rady Kościołów w sprawie dostarczenia, w ramach Programu Zwalczenia Rasizmu, pomocy finansowej dla celów humanitarnych organizacjom walczącym z rasizmem — jest całkowicie zgodna z uchwałami podjętymi przez V Zgromadzenie Ogólne SFL w lipcu br. w Evian (Francja).

W wywiadzie udzielonym niedawno „Służbie Prasowej” Światowej Federacji Luterńskiej, prof. Juva oświadczył, że w dotychczasowej dyskusji nad tym Programem nie wyłonił się żaden argument, który mógłby zmienić jego przekonanie.

LUTERAŃSKI PREZYDENT KOŚCIOŁA W LIBERII APROBUJE STANOWISKO ŚRK

Prezydent Kościoła Luterńskiego w Liberii (Afryka Zach.), dr Roland J. Payne wezwał zachodniemieckich przywódców kościelnych, do zrewidowania postawy wobec Programu Zwalczenia Rasizmu Światowej Rady Kościołów i do poparcia ekumenicznej akcji pomocy humanitarnej dla ruchów wyzwolenczych.

W oświadczeniu opublikowanym w Genewie, dr Payne zapewnia, że z całego serca aprobuje odpowiednie decyzje w tej sprawie podjęte przez Komitet Wykonawczy Światowej Rady Kościołów.



SPOTKANIA W POLSCE

Od 1964 roku wychodzi w Niemieckiej Republice Federalnej miesięcznik zatytułowany „Spotkanie z Polską”. Czasopismo poświęcone porozumieniu niemiecko-polskiemu (Begegnung mit Polen. Zeitschrift für deutsch-polnische Verständigung). Na jego łamach ukazał się w nr. 3—4 br. artykuł ks. Albrechta Binetscha pt. „Spotkania w Polsce”. Autor mieszka w Stuttgarcie i pracuje jako duszpasterz krajowy mężczyzn Kościoła Ewangelickiego Wirtembergii. Dzięki jego inicjatywie odbyło się w Wirtembergii szereg spotkań poświęconych naszemu krajowi. W r. 1969 ks. Binetsch był jednym z głównych organizatorów ewangelickiego Kirchentagu w NRF, w czasie którego uchwalono apel skierowany do rządu bońskiego w sprawie uznania granicy na Odrze i Nysie.

Ks. Binetsch przebywał w Polsce na początku br. Wrażenia, jakie wyniósł z pobytu w naszym kraju, zawarł w wspomnianym na wstępie artykule, którego ważniejsze fragmenty pragniemy niżej przytoczyć.

Ks. Binetsch pisze:

„Byłem zaproszony na 10-dniowy pobyt do Krakowa, Oświęcimia i Warszawy. Gościny udzielała mi Polska Rada Ekumeniczna, zrzeszająca nierzymskokatolickie związki wyznaniowe w Polsce... Ewangelicka Organizacja Mężczyzn Wirtembergii utrzymuje od lat kontakty z tymi Kościołami polskimi. Jest to osobista zasługa naszego niezmordowanego „otwieracza drzwi” (Turöffner), ks. Lutterotha z Lauffen. Razem byłem z nim również teraz w Krakowie i Oświęcimiu.

Kraków, 22—23 stycznia. Marian jest naszą dobrą gwiazdą na wszystkich (zaśnieżonych) drogach. Jako były więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen k. Berlina zna on dobrze niemiecki i ze wzruszającą troskliwością oddaje się na całe dwa dni do naszej dyspozycji. Co chcielibyście zobaczyć? Kogo pragniecie odwiedzić? Gdzie chcecie zjeść? Marian wszystko nam umożliwia. Nie zapytany, nie nie mówi o przeszłości. Zaprasza nas do siebie do domu, a jego żona częstuje nas dobrą polską kuchnią. Marian uważa, że trzeba wreszcie zrobić nowy początek, i sam to czyni. To on, podczas tej podróży, dał mi pierwszą próbkę polskiej serdeczności, podróży, w czasie której byłem tak często zaskoczony i zawstydzony. Abstrahując od powyższego, muszę dodać, że obaj spotkalśmy się na bazie wspólnego zamilowania do piwa.

Oświęcim, 24—25 stycznia: Ponieważ rozpoczęły się obchody 25-lecia wyzwolenia obozu, zajęte jest każde łóżko hotelowe. Międzynarodowy Komitet Oświęcimski słyszał o naszym przybyciu i zarezerwował nam duży pokój w „hotelu” obozowym; jest to był szpital nadzorców SS. Bezpośrednio pod oknami biegnie podwójny płot, naladowany ongiś elektrycznością o mocy 6000 voltów. Zwątpienie popychało kiedyś w jego kierunku niezliczoną rzeszę więźniów.

W niedzielę zwiedzamy potężny obóz w Oświęcimiu-Brzezince, największą „fabrykę śmierci” w Europie... śnieg leży na rampie selekcyjnej i na torach kolejowych, które były ostatnią stacją dla 4 000 000 ludzi. Rozpadły się „stajnie” będące pomieszczeniem dla 100 000 ludzi, 4 krematoria zostały wysadzone w powietrze, komory gazowe robią wrażenie potężnych basenów do pływania. „Rozumiem — mówi nasz przewodnik — gdy powiadacie, że wówczas o tym nie wiedzieliście. Nie uwierzylibyście nawet wtedy, gdyby wam ktoś o tym powiedział. Bo jest to niewiarygodne. Jednakże to się zdarzyło”.

Po południu, w restauracji samoobsługowej siedzi naprzeciw mnie wysoki, może 45 letni mężczyzna; orientuje się wnet, że jestem Niemcem. Po pięciu minutach zaprasza mnie, bym go odwiedził w Warszawie. Trzy dni później spożywam u niego i jego rodziny wyborną kolację. Nawiązuje się długa rozmowa dotycząca historii, polityki, psychologii i osobistych podstaw wiary. „Osobliwe, że o tym wszystkim rozmawiam z Panem” — powiada mój rozmówca na zakończenie. „Ale przy przyjaźni nie zatrzymuje się u mnie przy narodowościach”. Człowiek ten był 4 lata w Oświęcimiu. Dostał się tam w 16 roku życia za kolportaż zakazanych ulotek.

Warszawa, 26—29 stycznia: W pociągu pospiesznym między Katowicami i Warszawą nawiązuję rozmowę z młodym człowiekiem. Jest on pracownikiem jednego z Instytutów Uniwersytetu Warszawskiego. Zanim pociąg wjechał w Warszawę na Dworzec Gdański, byłem już dawno przez tego Polaka zaproszony do domu studenckiego na dyskusję z nim i z innymi studentami. Jeszcze tego samego dnia przesiedziałem pięć godzin wśród młodych ludzi. Rozmawiamy o Zachodzie i Wschodzie, socjalizmie i kapitalizmie, Karolu Marksie i Jezusie. Godne uwagi jest to, że rozmowa stale schodzi na Boga. Moji rozmówcy jeszcze nigdy nie zetknęli się z teologią ewangelicką...

Jest to jedyne w swoim rodzaju uczucie stać za pulpitem w kościele baptystów w Warszawie i prowadzić godzinę biblijną — przekładaną zdanie po zdaniu przez dyrektora Biura Polskiej Rady Ekumenicznej...

Rozmowy polityczne następują jedną po drugiej, z dziennikarzami, z działaczami kościelnymi, sekretarzami organizacji oraz posłem do polskiego Sejmu. Rozmowa toczy się stale wokół granicy na Odrze i Nysie, stale wokół nadziei na zrozumienie i porozumienie, stale wokół nadziei...

Tak, z tego się cieszę, że w starej Europie stale jeszcze istnieje nadzieja i że wreszcie nadzieja pojawia się także w stosunkach między Niemcami i Polakami”.

K.K.

RUMUŃSKI PATRIARCHA JUSTYNIAN GOŚCIEM STAROKATOLIKÓW NIEMIECKICH

W poprzednim numerze „Rodziny”, w artykule pt. „Kościoły chrześcijańskie w Rumunii” wspomnieliśmy, że w dniach 7—10 października br. przebywał w NRF jako gość Kościoła Starokatolickiego, Rzymskokatolickiego i Ewangelickiego zwierzchnik Kościoła Prawosławnego Rumunii, Patriarcha Justynian. Informowaliśmy wówczas o pierwszych dniach pobytu Justyniana w tym kraju. W międzyczasie dotarły do nas materiały omawiające szczegółowo cały pobyt.

Dla kontaktów starokatolicko-prawosławnych szczególnie ważny był dzień 16 października, w którym Patriarcha Justynian i towarzyszące mu osoby spotkali się w Bonn z przedstawicielami Kościoła Starokatolickiego.

Okolicznościowe nabożeństwo odbyło się w starokatolickim kościele św. Cypriana. Patriarcha Justynian włożył na tę uroczystość odświętne szaty liturgiczne i mitrę patriarchalną. Zarówno Justynian, jak i Biskup Kościoła Starokatolickiego w NRF Józef Brinkhues, podkreślili w swych przemówieniach konieczność intensyfikacji rozmów teologicznych między oboma Kościołami. Wyrazem ścisłej łączności — także w sensie liturgicznym — był dar w postaci mszału starokatolickiego przekazany Justynianowi. Łączności tej służyło również przekazanie prawosławnym gościom z Rumunii kopii dokumentu religijnego biskupów starokatolickich, który wiosną br. delegacja starokatolicka w składzie: Arcybiskup-koadiutor Utrechtu Marinus Kok, Biskup J. Brinkhues i prof. dr Werner Küppers — doręczyła w Konstantynopolu Patriarsze Atenagorasowi.

Biskup Brinkhues złożył również na ręce Patriarchy Justyniana dar w postaci rocznego stypendium Kościoła Starokatolickiego w NRF dla studenta teologii Kościoła Prawosławnego Rumunii. „Również to było więcej niż gestem” — pisze w „Alt-Katholische Kirchenzeitung” (nr 11/1970) autor obszernego sprawozdania o pobycie Justyniana w NRF. „Jeśli nasze Kościoły pragną przezwyciężyć nieliczne momenty, które nas dzielą bardziej zewnętrznie niż wewnętrznie, to wymiana ludzi

będzie miała ważne znaczenie w likwidacji istniejących jeszcze uprzedzeń”.

Autor wspomnianego sprawozdania pisze dalej: „Z tego punktu widzenia wychodząc, także zaproszenie przez Justyniana do Rumunii naszego Biskupa i delegacji, ma bardzo duże znaczenie.

Również rozmowy teologiczne w domu Biskupa Brinkhuesa pokazały wyraźnie, jak istotną sprawą jest to, gdy Kościoły ocenia się nie tylko na podstawie wydawanych przez nie książek teologicznych, lecz także w oparciu o spotkania braterskie. Dzięki takim spotkaniom możemy poznać, jak bardzo jedni do drugich należymy.

To znów nasz Biskup był tym, który Patriarchę Justyniana i towarzyszące mu osoby odprowadził na lotnisko bońskie. Czy był to tylko przypadek? — pyta sprawozdawca starokatolicki, I natychmiast dodaje: „Wierzę, że było to coś więcej, że był to znak wskazujący przyszłość, wspólną przyszłość obu naszych Kościołów”.

Po powrocie do Rumunii Patriarcha Justynian wystosował telegram do Biskupa Brinkhuesa następującej treści:

„Dziękujemy Bogu, że za Jego pomocą wróciliśmy zdrowi do domu.

Chcemy wyrazić naszą głęboką wdzięczność za braterskie przyjęcie oraz za uprzejmą i troskliwą gościnność, której udzieliście mnie i pozostałym członkom delegacji z okazji naszej niezapomnianej wizyty w Republice Federalnej.

Mocno ufamy, że ten pierwszy kontakt, który umożliwił wzajemne poznanie siebie i zarazem pozwolił stwierdzić, że serca nasze wypełnia to samo uczucie na pełne zaufania zbliżenie i ścisłą współpracę naszych Kościołów i narodów, stanie się przez łaskę Bożą dalszą pomocą w urzeczywistnieniu jedności Kościołów chrześcijańskich Rumunii”.

P.G.

1
Nabłogosławienie okolicznościowe z okazji przybycia Patriarchy Justyniana do NRF, odprawione w katedrze św. Piotra w Monachium. Od prawej: dr Miron, Patriarcha Justynian, Kardynał Juliusz Döpfner, radca kościelny Maser, Biskup Józef Brinkhues, Biskup krajowy Neuhäusler, Biskup krajowy Tewes, starokatolicki rektor — ks. Wynfrith Noll.

2
Patriarcha Justynian i Biskup Brinkhues wymieniają pocałunek pokoju.

3
Biskup Brinkhues z Metropolitą Firmilianem (z lewej) i Biskupem Teoktistem (z prawej).



1



2



3

Foto: Archiwum

MŁODZIEŻ POLONIJNA W USA

Niezwykle ważnym problemem Polonii amerykańskiej jest utrzymanie się jej na powierzchni wielkiego morza społeczeństwa Stanów Zjednoczonych poprzez uratowanie odrębności etnicznych specyficznie polskich, a więc przede wszystkim polskiego języka. Nasze zainteresowanie wynikami tych zmagania, cennymi dla polskości, wyraziliśmy w rozmowie z ks. doc. drem hab. Szczepanem Włodarskim, który przebywał w USA latem 1970 r. w celach naukowych.

— Czy można zauważyć jakieś zasadnicze cechy stapiania się różnych narodowości USA w jeden naród amerykański i jak ten proces kształtuje się w obecnym stadium?

— Najpierw przypomnijmy sobie, jak to wyglądało do drugiej wojny światowej. Głoszono w tamtym okresie, że Stany Zjednoczone to „tygiel narodów”, w którym wychodzący ze wszystkich krajów świata łączą się w jeden monolit, aby po jakimś czasie utworzyć stop, zwany narodem amerykańskim. Przez przeszło półtora wieku czynniki decydujące o polityce i kulturze USA domagały się, aby wszyscy bez wyjątku imigranci weszli w ten tygiel. Z niechęcią odnoszono się do Amerykanów „z myślnikiem”, jak np. do Polako-Amerykanów, Włoho-Amerykanów itd. Głoszono, że może być tylko jedna lojalność — amerykańska. Gdy chodziło o rodzaj kultury, twierdzono, że amerykańską jest tylko kultura pochodzenia brytyjskiego, przyniesiona przez Anglików, Walijczyków, Szkotów oraz tych Irlandczyków, którzy wyznawali protestantyzm. Decydował o tym przede wszystkim język angielski, a także religia w wyznaniach przyniesionych z Wysp Brytyjskich (prezbiteria-

nie, metodyści, kwakrzy, unitarianie i anglikanie). Do drugiej wojny światowej amerykańskie było to, co się zawierało w symbolu WASP (white, Anglo-Saxon, protestant) oznaczającym ludzi białych, Anglosasów i protestantów. I chociaż amerykańska Konstytucja, Deklaracja Niepodległości i Karta Praw głosiły — jako naczelne przykazanie — równość wszystkich wobec prawa, to jednak w praktyce, w życiu codziennym, każdy WASP był „bardziej równy”, czyli lepszy od ludzi nie należących do rasy białej, do pnia anglosaskiego lub germańskiego i do jednego z wyznań protestanckich. Z czasem przestano wymagać od przybyszów legitymacji germańskiej, lecz nadal stawiano trzy bariery tym, którzy chcieli zostać „prawdziwymi” Amerykanami: biały kolor skóry, wyznawanie protestantyzmu i używanie języka angielskiego. Najwcześniej odpadła bariera wyznaniowa, a to dzięki żywiołowemu napływowi Irlandczyków, uważających wyznanie rzymskokatolickie za swoje narodowe. Ponad pół wieku trwała okrutna wojna zwolenników WASP z rzymskokatolicyzmem, aż poczęto go tolerować dzięki zręcznej taktyce biskupów pochodzenia irlandzkiego, którzy

nadgorliwie starali się udowodnić, że rzymskokatolik też może być „prawdziwym” Amerykaninem. Zwycięstwo tej taktyki obchodzili „Ajrysze” (Amerykanie-Irlandczycy) w 1960 r., gdy prezydentem USA został rzymskokatolik — Ajrysz, John Kennedy.

Z kolei poczęła upadać bariera związana z angielskim językiem. Nie można mówić oczywiście o zaniechaniu używania tego języka. Pozostał on oczywiście jako podstawowy w codziennym życiu, lecz stracił wiele z form i ducha języka używanego w Anglii, przestał też w dotychczasowym stopniu odgrywać rolę nośnika kultury anglosaskiej.

Do niedawna istniał w USA ostry konflikt między starszym i młodszym pokoleniem przybyszów. Starsi imigranci chcieli zachować tradycje, wyniesione ze starego kraju, młodzież natomiast odrzucała wszystko, co nie było „amerykańskie”, gdyż chciała się przyłączyć do WASP. Młodzi Amerykanie polskiego, włoskiego, meksykańskiego i in. pochodzenia wstydzili się często tradycji pielęgnowanych przez rodziców. Uważali je za coś niższego. Gardzili mową rodziców, gardzili obyczajami, próbowali za-

cierać ślady związku z Polską. Ostatnio jednak pojawiły się w tej dziedzinie wyraźne zmiany. Młodzi Polako-Amerykanie przestają się wstydzić swego pochodzenia i — co więcej — zaczynają je podkreślać. Co na to wpłynęło? Przede wszystkim podniósł się wybitnie poziom wykształcenia młodzieży amerykańskiej w ogóle. Młoda inteligencja polsko-amerykańska uważa się za część integralną narodu amerykańskiego, w swej amerykańskości czuje się już pewna i bezpieczna. Gdy otoczenie uważa ją za młodzież bez wątpienia amerykańską, nie musi się ona wstydzić swej przeszłości, zwłaszcza gdy w dziejach polskiego narodu znajduje wartości, które przetrwały całą Amerykę i cały świat — stawiane są wysoko. Ta młodzież jest więc na wskroś amerykańska, językiem jej codziennym jest angielski, polskiego nie używa lub go nie rozumie wcale, lecz mimo to czuje się związana z narodem polskim, z tym wszystkim, co drogie każdemu Polakowi pod każdą szerokością geograficzną.

— Czy jednakże zarzucenie języka polskiego nie oznacza odrzucenia podstawowego elementu kultury polskiej i tego wszystkiego, co nazywamy polskością?

— Obawa słuszna, lecz tylko pozornie. Język odgrywa w tych sprawach niewątpliwie rolę zasadniczą, lecz należy się zastanowić, o jaki język tu chodzi. Język polski przyniesiony do USA przez emigrantów, był przeważnie językiem polskiej wsi, obejmującym zakres życia codziennego. Był całkiem nieporadny, gdy cho-



dziło o wyrażenie przeżyć wyższego rzędu, względnie choćby tylko nowych osiągnięć technicznych. Nie dziwnego, że drugie i trzecie pokolenie polskich emigrantów wstydziło się po trosze tego języka. Używało go z konieczności do porozumiewania się z rodzicami, ale widziało jego bezużyteczność już przy czytaniu polskich książek, a nawet polskich gazet. Korzystanie ze skarbca kultury polskiej może im umożliwić dopiero polski język literacki, którego muszą się nauczyć.

W okresie panowania hasła WASP takiej nauki w szkołach państwowych nie było, a szkoły prywatne były stale pod naciskiem biskupów — „Ajryszy”, wrogich nauce obcych języków. W okresie drugiej wojny światowej Amerykanie uświadomili sobie, że znajomość jednego tylko języka nie wystarcza. Odczuli brak ludzi znających obce języki, dobrze obeznanych z historią i kulturą innych krajów. Stąd dotychczasowi zwolennicy WASP nawołują obecnie nierzadko do interesowania się historią i kulturą Polski, zachęcają do nauki polskiego, literackiego języka. Odrzucono zasadę, że kultura amerykańska musi być monolitycznym stopem. Dziś stawia się powszechnie postulat różnorodności tej kultury, co stanowi doskonałą szansę również dla światłych, rozumnych przywódców amerykańskiej Polonii. Teraz już żaden z polonijnych aktywistów nie będzie się raczej domagał mówienia po polsku na co dzień, ale każdy z nich wzywa do uczenia się języka polskiego po to, by móc korzystać ze skarbca narodowej kultury polskiej.

Wyłączne posługiwanie się przez Polsko-Amerykanów językiem angielskim wcale nie musi oznaczać odrzucenia polskości. Pierwszorzędną rolę odgrywa świadomość przynależności do ojczyzny swych ojców, stosunku do problemów polonijnych w USA i zagadnień życia w Polsce.

— Jak na ten problem pa-

trzy Kościół Narodowy w USA i w jaki sposób rozwija go, aby utrzymać swój polski, narodowy charakter?

— Zarówno w teorii, jak w praktyce Kościół Narodowy stosuje to wszystko, co zostało wyżej powiedziane. Docenia ważność polskiego języka i tam, gdzie to możliwe, utrzymuje go jako mowę swego wielkiego Organizatora, Biskupa Fr. Hodura. Odprawia się więc Msze św. po polsku, głosi polskie kazania, prowadzi z dziećmi naukę języka polskiego w szkole parafialnej. Obydwa tygodniki „Straż” i „Rola Boża” — są dwujęzyczne. Dwujęzyczny jest też rytuał. Lecz na obradach synodalnych, w wykładach teologicznych i przy dyskusjach ogólnokościelnych używa się niemal wyłącznie języka angielskiego. Nie wydaje się już książek po polsku. Natomiast władze Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego, zwłaszcza Pierwszy Biskup, ks. Bp. T. Zieliński, kładą ogromny nacisk na czynniki pogłębiające znajomość spraw polskich, a zwłaszcza na ugruntowanie w młodzieży świadomości wspólnego dziedzictwa kultury polskiej. Wiele więc uwagi poświęca się takim akcjom, jak wycieczki młodzieży PNKK do Polski, prowadzenie wykładów z dziejów kultury polskiej i historii Polski, organizowanie polskich seansów filmowych, wzbogacenie bibliotek polską literaturą, (także w jęz. angielskim), urządzenie festynów ludowych z polskimi, ludowymi tańcami i śpiewami, dostarczanie chórom parafialnym polskich pieśni, a amatorskim zespołom teatralnym polskich sztuk dramatycznych. Z tych wysiłków Kościół Narodowy nigdy nie zrezygnuje, ponieważ niewątpliwie zawsze będzie Kościołem Polskim.

— Dziękujemy za te uwagi. Jesteśmy przekonani, że wyrażają one wiele nieporozumień w tak żywotnej dla nas dziedzinie życia kościelnego i narodowego wychodźstwa polskiego w USA. (Red.)

ŚWIAT
NA KTORYM
ZYJEMY



EMERYTURA PAWŁA VI?

Paweł VI obchodził 73 rocznicę swych urodzin. Przed rocznicą papież oświadczył: „Koniec mojej misji nie jest odległy”. Słowa te wywołały w Rzymie duże zainteresowanie i zrodziły przypuszczenia, że Paweł VI zamierza podać się do dymisji, po ukończeniu 75 roku życia.

Przed kilku laty Paweł VI zalecił biskupom i kardynałom, aby po ukończeniu 75 lat przechodzili na emeryturę. Już wielu rzymskich hierarchów skorzystało z tego uprawnienia. Dawniej było to nie do pomyślenia: wszyscy dostojnicy kościelni pełnili swe funkcje dożywno.

Nie jest wykluczone, że ustalając granicę 75 lat, jako odpowiednią do opuszczenia wysokich stanowisk kościelnych, Paweł VI miał również na myśli i siebie. Gdyby tak było, to za dwa lata odbyłaby się niecodzienna uroczystość pożegnania papieża, odchodzącego na emeryturę.

Dociekając motywów ewentualnego ustąpienia Pawła VI, obserwatorzy sądzą, że powodem rezygnacji byłby przede wszystkim fakt, że Kościół Rzymskokatolicki objęty jest poważnym kryzysem przemian. Abstrakcyjne dyskusje na temat zakończenia władzy papieskiej, przekształcające się często w ataki osobiste przeciwko Pawłowi VI, wy-

chodzą nie tylko od niespokojnych teologów, ale i od bardzo autorytatywnych kardynałów. Na przestrzeni historii niewielu papieży znalazło się w sytuacji, w której biskupi i księża miewają poglądy tak odmienne od papieskich, jak obecnie.

Pawłowi VI, tak jak żadnemu z jego poprzedników, wypadło rządzić Kościołem ogarniętym kryzysem o niespotykanych dotychczas rozmiarach. Być może, iż podeszły wiek papieża nie pozwala mu już stawić czoła sytuacji w Kościele wyjątkowo trudnej.

Ostatni przypadek dobrowolnej dymisji papieża zdarzył się siedemset lat temu: w XIII wieku tron papieski opuścił Celestyn V. Niektórzy mieli mu to za złe. Min. Dante zarzucił mu „tchórzostwo”. Paweł VI nie podziela takiej opinii o swym dalekim poprzedniku. Jest rzeczą znamienią, że kilka lat temu papież Montini złożył Celestynowi V uroczysty hołd, stwierdzając przy tym, że „przyczyną ustąpienia trzynastowiecznego papieża było nie tchórzostwo, lecz pokora”. Pochwała czynu Celestyna V, zestawiona z cytowaną na wstępie wypowiedzią urodzinową, tym bardziej uprawnia obserwatorów polityki Watykanu do przewidywania możliwości pierwszej po siedmiuset latach dymisji papieża.

PSZENICA I POKÓJ

Swoistą sensacją stało się przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla za rok 1970. Otrzymał ją zupełnie niespodziewanie amerykański agrobiolog dr Norman E. Borlaug. Odznaczył się on bynajmniej nie jako działacz społeczny, zasłużony dla sprawy pokoju i braterskiego współżycia narodów, ale jako hodowca super-wydajnych odmian pszenicy.

W swoim testamentie sławny szwedzki multimilioner i wynalazca dynamitu Alfred Nobel (1833—1896) stwierdził wyraźnie, że nagrodę pokojową przyznawać należy temu szermierzowi pokoju, który „najwięcej albo najlepiej działać będzie w kierunku zbratania ludów i likwidacji albo zmniejszenia istniejących armii, jak też zwoływania i rozszerzania kongresów pokojowych”.

Pokojową Nagrodę Nobla przyznaje zwykle specjalny komitet, wybierany przez norweski parlament (do roku 1905 król Szwecji rządził również Norwegią).

Wybór dr. Borlauga wyjaś-

niono tym, że jego osiągnięcia w dziedzinie wyżywienia działają rzekomo hamująco na nastroje wojenne. Norweski uczoney Johann Galtung skomentował to ironicznie: „To tak, jakby syte narody były mniej wojownicze niż głodne”.

Na ogół panuje mniemanie — niezależne naturalnie od obiektywnej oceny osiągnięć dr. Borlauga — że na decyzję Komitetu wpływały przede wszystkim motywy natury politycznej: niechęć do nagradzania ludzi, przyczyniających się do zwycięstwa swym działaniem do okiełznania imperializmu i reakcyjnego militarizmu. Warto przypomnieć, że wśród odrzuconych kandydatów do nagrody znajdował się również brazylijski arcybiskup Dom Helder Camara, szeroko znany ze swych postępowych poglądów, za które niejednokrotnie był atakowany przez oficjalne koła kościelne.



Dzień Dziedzka Polskiego zorganizowany w ostatnią niedzielę czerwca 1970 roku przez I Okręg Polsko - Narodowej Spójni w Scranton. Zdjęcie przedstawia młodzież, starszych i dzieci zebranych przed Pomnikiem Wdzięczności wzniesionym na cmentarzu w Scranton ku czci śp. Biskupa Franciszka Hodura.



BYŁ TO ROK 999

Leif, najstarszy syn Eryka Czerwonego, zwrócił się do ojca o pozwolenie objęcia kierownictwa wyprawy na zachód, celem dopłynięcia do wybrzeży nieznanego kraju, do którego burze zagnały w swoim czasie Eryka. Leif gorąco pragnął odnaleźć ten dziwny i tajemniczy kraj, lecz ojciec odmówił swego udziału w wyprawie, nie zabraniając jednak synowi tego przedsięwzięcia. Zebrał więc Leif 30 śmiałych żeglarzy i popłynął w kierunku zachodnim. Gnani burzami i wichrami żeglarze ujrzeli po wielu tygodniach skaliste brzegi. Zawrócili na południe i płynąc wzdłuż wybrzeży nieznanego kraju, niczego więcej prócz skał i ogromnych głazów na tej ziemi nie widzieli. Wówczas Leif ogłosił załozde:

— Nazwiemy ten kraj Hellulandem (Krajem Kamienistym). A gdy płynąc dalej w kierunku południowym, ujrzeli wybrzeża pokryte lasami — wylądowali. Nie zapuszczając się w głąb lądu, tu, na wybrzeżu odpoczywali przez kilka dni.

I znowu Leif ogłosił:

— Tę część ziemi nazwiemy Marklandem (Leśnym Krajem). Kiedy udali się morzem dalej na południe stracili wkrótce z oczu ziemię. Znowu byli sami na niezmierzonej przestrzeni wód. W kilka dni później dostrzegli skrawek lądu. Ale jakże inny od tego, który pozostawili poza sobą. Była to ziemia pięknych, olbrzymich i ciągnących się w nieskończoność lasów, zielonych łąk. Wiele strumieni i rzek, przecinających wybrzeże, wpadało do morza. Leif postanowił pozostać przez pewien czas na nowo odkrytej ziemi. Niedaleko od miejsca lądowania znaleziono wygodną przystań i przystąpiono do budowy osiedla. Postawiono kilka chat. Znalezli tu pod dostatkiem wody, zwierzyny i ryb. Dzieliąc się na niewielkie grupy, zapuszczali się coraz częściej w głąb tajemniczego kraju. Mijały dni, a podróżnicy nie natrafiali jeszcze na ślady mieszkań-
ców.

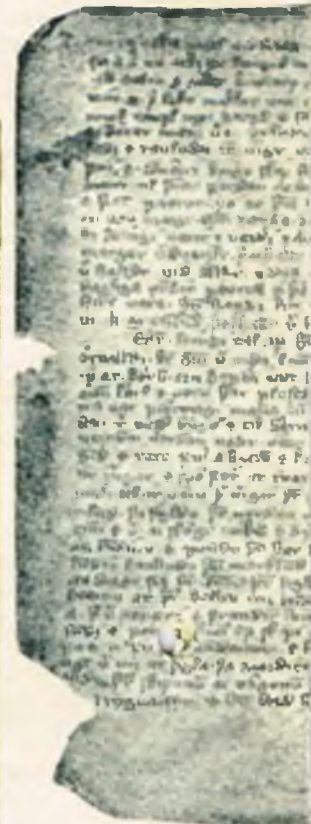
Pewnego dnia Leif wysłał swego piastuna Tyrka, najstarszego członka wyprawy, wraz z kilku towarzyszami, na zbadanie okolicznych lasów. Wieczorem do obozu wróciła grupa wywiadowców, jednak bez Tyrka. Jak wynikało z opowiadań zaniepokojonych żeglarzy, Tyrk w pewnym momencie odłączył się, chcąc zbadać okolicę na własną rękę. Od tej chwili wszelkie poszukiwania za nim nie dały rezultatu. Noc w osiedlu żeglarzy przeszła na denerwującym wyczekiwaniu. Tyrk był zbyt doświadczony, by mógł zabłądzić; w południe następnego dnia zjawił się wreszcie.

Okazało się, że znalazł dziko rosnącą latorośl winną, której gronami najadł się aż do przesyty. Cała drużyna Leifa poszła we wskazanym przez Tyrka kierunku. Znaleziono tam dużą przestrzeń, na której rosły krzewy winogronowe.

W związku z tym Leif nazwał odkryty przez siebie kraj „Vinlandem”. Przezimowawszy w Vinlandzie, na wiosnę żeglarze wrócili do Grenlandii, wioząc z sobą większy ładunek drewna, którego brak było w ich ojczyźnie.

W rok od opisanych zdarzeń umarł Eryk i Leif został głową rodu i przywódcą osady norweskiej w Grenlandii. Zwrócił się wówczas do Leifa jego młodszego brata Thorvalda o pozwolenie na wyprawę do Vinlandu. Leif dał mu swój statek i po wielotygodniowej podróży, Thorvald ze swoją załogą dotarł szczęśliwie do tego kraju, który go tak oczarował swym pięknym krajobrazem, że postanowił tu pozostać na zawsze. Pewnego dnia ujrzeli żeglarze na piaszczystym wybrzeżu ślady ludzkich stóp. Na rozkaz Thorvalda wciągnęli statek na brzeg i postanowili czuwać z bronią w rękę. Mężni Wikingowie uzbroili się jak do bitwy, głowy osłonili wysokimi, żelaznymi hełmami, na lewym ramieniu — duże, okrągłe tarcze, u boku — długie miecze i bojowe topory, w rękach łuki i oszczepy.

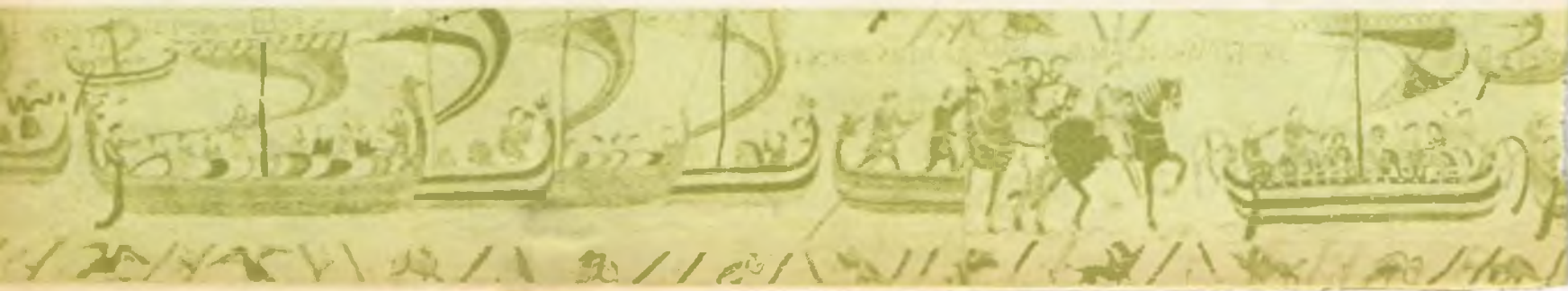
Mijał dzień, minęła noc — tajemniczych mieszkańców ani śladu... Nad ranem dnia następnego ujrzeli nagle mrowie łodzi wpływających do zatoki. Szybko przybiły one do brzegu i wtedy wysypały się z nich tłumy dziwnych postaci ludzkich. Biegli ku Wikingom. Na rozkaz Thorvalda drużyna zwarła się w krag, osłaniając tarczami niby murem. Nieznani napastnicy podszli tak blisko, że można było się im dobrze przyjrzeć. W porównaniu z roslymi Wikingami wydawali się drobni i szczupli. Skórę mieli barwy brązu, twarze bez bród i wąsów, a długie czarne włosy opadały im na ramiona. Byli półnagzi, częściowo tylko przyodziani w skóry. W rękach dzierżyli łuki, kamienne siekiery osadzone w drewnie oraz włócznie z kamiennymi i kościanymi grotni. Gdy podeszli blisko, tłum ciemnoskórych wydał dziki okrzyk i chmura strzał zasypała białych Wikingów. Osłonięci tarczami drwili sobie ze strzał przeciwników, natomiast ich łuki zaczęły szerzyć spustoszenie wśród półnagich „Vinlandczyków”. Ponosząc duże straty, przeciwnicy cofnęli się. Jednak nie na długo. Minęło kilka minut, gdy znów ich tłumy z dzikim okrzykiem wojennym ruszyły do ataku. Doszło do walki wręcz. Bitwa trwała krótko. Właściwie była to rzeź. Pod ciosami długich mieczy i toporów padły gromady krajowców. Niewielkiej garstce udało się uciec..



Karta z rękopisu Sagi o



Wieżko



E ODKRYLI AMERYKĘ?



W drużynie Wikingów straty były niewielkie. Zginął jednak mężny Thorvald, który odrzuciwszy tarczę runął w otwarty bój i legł przeszyty strzałą. Po śmierci wodza, którego na jego życzenie pochowano na wybrzeżu, żeglarze odплыли niezwłocznie do Grenlandii, wioząc ze sobą opowieść o bohaterskim zgonie Thorvalda. Wkrótce po opisanych wypadkach najmłodszy syn Eryka Czerwonego opuszcza ojczystą Grenlandię, udając się do Vinlandu. Z wyprawy tej nie powrócił. Zginął gdzieś na oceanie.

Między dwa lata od odkrycia Vinlandu, a sława bohaterskich wypraw do tego kraju nie przebrzmiała. Oto wyrusza na podbój tego kraju Thorfinn Krilsefn, potomek znanego rodu islandzkiego, który, dzięki poparciu Leifa, zgromadził wyprawę liczącą trzy statki i 1160 ludzi załogi. Po raz pierwszy w dziejach wędrówek do Vinlandu w wyprawie wzięły udział kobiety, a wśród nich i siostra Leifa. Płynęli wzdłuż wybrzeży Hellulandu i Marklandu, badając po drodze dokładnie każdą okolicę, gdzie zatrzymywali się na odpoczynek. Tymczasem nadeszła jesień. Należało szybko zbudować chaty i przygotować się do przezimowania w Vinlandzie. Flotylla wpłynęła do malowniczej zatoki.

Tu postanowiono pozostać i ze względu na dużą ilość strumieni nazwano tę zatokę Straumfiordem.

Zimą roku 1003/4 przeszła wśród ciągłych nieporozumień między osiedleńcami z załogi Thorfinna. Wreszcie doszło do tego, że część załogi pod wodzą brutalnego Wikinga grenlandzkiego Thorhalla, opuściła islandzkich towarzyszy, odpływając na jednym ze statków na północ. Przyszła wiosna, a Islandczycy ciągle jeszcze nie spotkali się z krajowcami. Różnie myślano nad przyczyną stanu rzeczy. Czyżby w krajowcach tak długo żyła pamięć o krwawym starciu z załogą Thorvalda?

Dopiero późną wiosną zjawili się krajowcy — Skraelingowie. Zachowywali się — o dziwo — przyjaźnie. Przyплыli do zatoki na małych łodziach obciążonych skórą. Europejczycy ofiarowali im kilka drobiazgów, do szerszej jednak wymiany nie doszło, gdyż tubylcy pragnęli uzyskać broń od białych, a tego handlu zabronił Thorfinn. Krajowcy opuścili osadę i odплыli w dół rzeki. I znów minęły miesiące w niezakłóconym spokoju i wyczerpanej pracy osad-

ników. Następnej wiosny znów pojawili się Skraelingowie, jednakże postawa ich była mniej przyjazna niż poprzednio. Toteż wszyscy koloniści stanęli pod bronią.

I tu wydarzyła się przeżabawna historia. Otóż, gdy Skraelingowie podeszli blisko osady, wyszedł z niej wół, odbywający swą normalną przechadzkę po pastwisku. Przestraszeni nie na żarty widokiem niewidzianego dotąd zwierzęcia, tubylcy pierzchli w popłochu. Kilka dni później krajowcy znów się pokazali. Tym razem było ich tak wielu, że Thorfinn ani przez chwilę nie lądził się co do istotnych ich zamiarów.

Rzeczywiście — gromady Skraelingów z dzikim okrzykiem wojennym rzuciły się na Normanów. Wywiązała się krwawa bitwa. Z obu stron walczone z furją i rozpaczliwym męstwem. Wprawdzie z rąk Normanów padło wielu krajowców, ale na miejsce zabitych pojawiły się wciąż nowe gromady dzikich wojowników. Drużyna normańska walczyła ostatkiem sił. Wielu było rannych.

Przyszła chwila, w której Skraelingom udało się przerwać zwarty krąg Normanów. Triumf dzikich wydawał się pewny. Nagle siostra nieustraszonego Leifa — Freydis porwała miecz jednego z poległych i z bojowym okrzykiem Wikingów runęła w największą gęstwinę wrogów. Z rozwianym jasnym włosiem, z krwawym mieczem w dłoni szerzyła śmierć wśród krajowców. Ustępowali przed nią jak przed jakąś nieziemską furją.

Wikingowie, urzeczeni jej bohaterstwem, zdobyli się na decydujący wysiłek. Odparli atak Skraelingów, zmuszając ich do ucieczki. Bitwa ta położyła kres kolonizacyjnym planom Thorfinna. Zrozumiał, że z garstką osadników nie utrzyma się długo w Vinlandzie. Wkrótce potem, załoga Thorfinna opuściła nieprzyjazne i niebezpieczne brzegi odkrytego lądu i udała się na północ. Przez kilka lat przebywał Thorfinn na wybrzeżach wielkiego lądu, w ciągłych wędrówkach od Marklandu do Vinlandu. Raz jeszcze spróbował założyć osadę w Marklandzie, lecz wkrótce opuściła go reszta drużyny, stęskniona za ojczystą Grenlandią. Nikt z nich jednak jej nie ujrzał...

Statek gnany burzami zatonął gdzieś, obok wybrzeży Islandii.

Natomiast Thorfinnowi po długich jeszcze wędrówkach udało się szczęśliwie powrócić wraz z żoną i synem (pierwszym Europejczykiem urodzonym na vinlandzkiej ziemi) oraz resztą islandzkiej drużyny do Grenlandii.

Tak zakończyła się epopeja wypraw normańskich do Ameryki Północnej, gdyż nią właśnie była owa ziemia nazwana Vinlandem. W południowo-zachodniej Grenlandii można dziś jeszcze oglądać ruiny dawnej sławnej osady, w której żył niegdyś ród Eryka Czerwonego. Ostatni Normanowie wymarli tam w XV wieku — a opowieść o ich wędrówkach i odkryciach na nieznanym lądzie Ameryki zaginęła w niepamięć ludzką. Przetrwiała jednak w starych, średniowiecznych rękopisach islandzkich, przechowywanych w zbiorach Królewskiej Biblioteki w Kopenhadze.

Widok z Anzon Czerwonym



Zatoki z Anzon przedstawiające atak Wikingów

50 LAT SŁOWACKIEJ SCENY NARODOWEJ



STANISŁAW MAJEWSKI (tłumacz literatury słowackiej)

Scena narodowa zawsze jest symbolem i probierzem kulturowej i politycznej dojrzałości narodu; zwierciadłem jego życia duchowego. Scenę zawodową, we wszystkich krajach, poprzedzał ruch teatrów amatorskich, które stopniowo przekształcały się w profesjonalne. Proces ten przebiegał równoległe z konsolidacją świadomości narodowej i w różnych krajach toczył się odmiennie, w zależności od istniejących warunków historycznych. W Słowacji proces ten zaczął się w połowie XIX wieku i trwał 70 lat, od 1850 roku do 1920.

Słowacki teatr zawodowy powstał dopiero w roku 1918, w państwie Czechów i Słowaków, gdy po raz pierwszy w dziejach Słowacji ukształtowały się przesłanki rozwinięcia narodowej kultury teatralnej, godnej włączenia się do europejskiego koncertu. Pierwsza republika nie była jednak tym idealnym państwem, zdolnym zabezpieczyć aspiracje kulturalne Słowaków. Początki były jednak pełne rozmachu i entuzjazmu; idea sceny narodowej cieszyła się ogromnym poparciem narodu i zyskiwała częściową pomoc materialną państwa.

W listopadzie 1919 roku powołano Towarzystwo Słowackiego Teatru Narodowego, celem działalności którego było zbudowanie własnego Teatru Narodowego.

Pierwsze przedstawienia, u progu 1920 roku, zaczęto dawać w budynku Teatru Miejskiego w Bratysławie, wzniesionym w 1866 roku, który na razie zaspokajał potrzeby powstającej instytucji kulturalnej. Najważniejszym problemem tamtych dni było: kto ma grać?... Nie istniał przecież jeszcze zespół aktorów zawodowych.

Z pomocą pospieszyli Czesi: 1 marca 1920 roku, pod szyldem Słowackiego Teatru Narodowego, odbyło się pierwsze przedstawienie „Hubički”, Smetany, którą wystawił zespół Wschodnioczeskiego Teatru.

Taki był początek pięćdziesięcioletniej historii Słowackiego Teatru Narodowego. Był to początek czeski, nie słowacki. Pomoc ze strony dojrzałej kultury czeskiej, co należy szczególnie podkreślić, była wprost nieoce-

niona. Była ona zarazem wykładnikiem nowej państwowości czechosłowackiej, nowej polityki kulturalnej, która zdążyła ku temu by stolicę słowackiej Bratysławie — wtedy jeszcze bardzo zmagdziaryzowanej i zgermanizowanej — nadać nowe oblicze i uczynić z niej prawdziwe centrum dążeń moralnych i aspiracji odmłodzonego narodu, śmiało wkraczającego na drogę przyszłości.

Słowacki Teatr Narodowy, na przestrzeni 50 lat swego istnienia, żył i działał w trzech systemach państwowych i ustrojowych. W przedmonachijskiej republice burżuazyjnej (do 1939 roku); w słowackim państwie faszystowskim, podczas drugiej wojny światowej (do 1945 roku) i w odrodzonej republice powojennej, która stopniowo stawała się państwem socjalistycznym. Każdy z tych trzech etapów inaczej zapisał się w historii Słowackiego Teatru Narodowego.

Pierwszą wybitną indywidualnością, którą teatr pozyskał, był **OSKAR NEDBAL**, czeski kompozytor i dyrygent, artysta o światowym rozgłosie. Oskar Nedbal — na szczęście, albo na nieszczęście dla teatru — więcej był artystą niż przedsiębiorcą. Jego przedwczesna śmierć (popelniał samobójstwo w grudniu 1930 r.) była daremną ofiarą wielkiego talentu, zaszczeretego komercjalizmem, a nade wszystko niepowetowanym ciosem w artystyczny rozkwit STN. Z jego imieniem związany jest godny najwyższej pochwały czyn: angażament pierwszych aktorów słowackich, stworzenie krystalicznego załóżka przyszłego czysto słowackiego

zespołu zawodowego. Wraz z rozkwitem sceny wylania się pilna konieczność utworzenia szkoły teatralnej — Akademii Muzycznej i Dramatycznej w Bratysławie, która otworzyła swoje podwoje w 1925 roku.

Takie są niektóre pozytywne „ery Nedbala”. Należy do nich jeszcze zaliczyć zdrową ekspansję na prowincję, dzięki której STN stał się rzeczywistym ośrodkiem kultury narodowej, symbolem tradycji i krzewicielem ducha i języka narodowego, rozsądnikiem myśli społecznikowskiej i wartości humanistycznych.

Lata trzydzieste — to sprawowanie rządów nowego dyrektora STN, **V. Drašera**. Dokonują się zasadnicze zmiany, pod wpływem historycznego biegu wydarzeń. Nadciągał kryzys ekonomiczny, na arenę wkraczał faszyzm. Życie dynamizowało się, co dla sztuki teatralnej początkowo wydawało się być nawet korzystne.

Zespół dramatyczny STN rozpada się na dwie sceny: czeską i słowacką; pierwszą kieruje **Viktor Sulc**, człowiek związany z lewicą czeskiej awangardy, wzorujący się na teatrze niemieckim, natomiast sceną słowacką opiekuje się **Janko Borodač**, sięgający prawie wyłącznie po sztuki słowackie, rosyjskie i radzieckie. Ma to swoje dobre strony: publiczność może teraz wybierać, jej wymagania stają się wyższe, ocena surowsza, zwłaszcza że ponadto co tydzień gości w Bratysławie Teatr z Wiednia. Miasto powoli nabiera cech słowackich, przybywa studentów, inteligencji; do głosu dochodzi stała krytyka teatralna. W życiu politycznym i

w dziedzinie światopoglądowej zmagają się najróżniejsze prądy.

Klasyka słowacka osiąga sukcesy, aktorzy kreują wspaniałe typy ludowe, posługujące się językiem praocjów, triumf realizm.

Czyż mogło to jednak zadowalać w przeddzień wybuchu najokrutniejszej z wojen?..

Po dyktacie monachijskim, w nowych stosunkach państwowoprawnych, sytuacja Słowackiego Teatru Narodowego ulega (na zewnątrz) niby korzystnej zmianie. W gruncie rzeczy nikt z uczciwych Słowaków nie miał powodu do radości. Uzyskanie autonomii, a później własnego „państwa” z łaski Hitlera, oznaczało całkowitą faszycyzację życia. Dla Słowackiego Teatru Narodowego oznaczało to także odejście Drašera (co nie było tym złem najgorszym), ale przede wszystkim likwidacją sceny czeskiej, co było prawdziwym ciosem. Nadzór nad STN przejęło „państwo”, licząc — rzecz oczywista — że słowacka scena narodowa wprzęgnięta zostanie w służbę oficjalnej klero-faszystowskiej ideologii. Słowacki Teatr Narodowy nie zaprzedał się reżimowi, przeciwnie — jego najlepsze i najdojrzalsze inscenizacje z tego okresu były krzywym protestem przeciwko obłudzie faszystowemu i wojnie. Ściąga to na teatr ataki i prześladowanie aktorów (**Bagara, Gregóra, Meličkovej**). Społeczeństwo rozumiało jednak w czym rzecz, między aktorami i widownią doszło do niepisanego porozumienia. Rósł autorytet słowackiej sceny narodowej, jej wpływ na stosunek ludu do klero-faszystowskiego reżimu. Nie sposób jest zmierzyć wkładu i udziału Słowackiego Teatru Narodowego w dzieło bohaterstwa zrywu powstańczego Słowaków, w roku 1944. Wkład ten był niewątpliwie wielki.

Wiosną 1945 roku, w dziejach STN dokonuje się zasadniczy przełom. Całą historię Słowackiego Teatru Narodowego można by idealnie wprost podzielić na dwie, czasowo równe, połowy. Schematycznie rzecz ujmując:

SERCE dla Zośki

Przysłowie ludowe mówi, że „jak po kopie — to po chłopie”. Tymczasem pan Chryzostom K. mimo że stuknęła mu właśnie sześćdziesiątka czuł się całkiem młodo. Zresztą jesień życia, której próg przestąpił, zapowiada się całkiem pogodnie. Syn i córka byli urzędzeni na swoim, wnuczka chowały się dobrze. Pan Chryzostom, od kilku lat wdowiec, mieszkał w wygodnej, samodzielnej kawalerce. Za kilka lat miał przejść na emeryturę, a na razie pracował jako księgowy w pewnej niedużej instytucji w Warszawie.

Z początkiem 1969 r. na horyzontie biura pojawiła się nowa pracownica Zofia L., dziewczęce dwudziestolatki. Zofię przydzielono do pomocy panu Chryzostomowi, który początkowo nie ukrywał niezadowolonych z tego faktu, ale w miarę upływu dni pod wpływem zabiegów Zofii, która chciała zjednać sobie zwierzchnika, topniał jak masło na patelni i wkrótce znalazł się pod wyraźnym urokiem młodej dziewczyny. Całe biuro wiedziało już o tym dobrze, bo zresztą pan Chryzostom okazywał jawnie swoje zainteresowanie Zofią i niezadowolenie, gdy młode, męskie głosy prosiły „pannę Zosie” do telefonu...

Zbliżały się wakacje. Pan Chryzostom wybierał się na urlop. Tymczasem niespodziewane wydatki związane z koniecznością pożyczania pieniędzy córce pokrzyżowały plany i niemal wydało się, że z wyjazdu nic nie wyjdzie. Zośka wiedząc o kłopotach szefa wystąpiła z nieoczekiwaną propozycją. — „Sze funio może pojechać do moich rodziców — do Ciechocinka — blisko, za darmo i wygodnie”. Pomyślał, że skoro i tak, a kiedy jeszcze napisała mamusia panny Zosi zapraszając pana Chryzostoma bardzo uprzejmie — zdecydował się na wyjazd. Opiekowano się nim w Ciechocinku bardzo serdecznie. Pan Chryzostom zajmował najlepszy pokój w mieszkaniu, leczyl się trochę i spacerował pod tężniami wierząc jak wszyscy kuracjusze, że rześkie, solankowe powietrze wpłynie na dobre samopoczucie i przywróci młodzieńcze siły. Istotnie odmłodził i nabrał ochoty do życia myśląc już nawet z dużym zadowoleniem o powrocie do Warszawy i spotkaniu z panną Zosią. W dniu odjazdu pan Chryzostom gwoli przyzwoitości uważał, że należy chociaż zaproponować pokrycie kosztów pobytu, ale mama panny Zofii słysząc o tym nie chciała.

— O nie — panie Chryzostomie. Nie wezmę od pana ani grosza, ale — bardzo proszę — młec serce dla Zośki...

Pan Chryzostom czuł się trochę zażenowany takim obrotem sprawy, ale pomyślał, że ostatecznie taka forma zapłaty jest nawet przyjemniejsza. Toteż zaraz po powrocie do Warszawy zaczął za-

praszać Zośkę do kina, teatru, na kawę. Któregoś dnia zaprosił ją do siebie, żeby pochwalić się uroczą kawalerką. — Takie mieszkanie w Warszawie to majątek — wzdychała Zośka. — Pewnie, pewnie — przytakiwał chępliwie pan Chryzostom — należało mi się takie mieszkanie, za tyle lat pracy.

Kontakty z Zofią coraz częstsze i bliższe kosztowały oczywiście pana Chryzostoma, co w krótkim czasie odbiło się na sumach dawanych córce na latanie budżetu domowego. Zresztą córka i syn zauważyli, że z tatą dzieje się coś niezwykłego. Pan Chryzostom dbał o siebie jak nigdy przedtem. Wszystko na nim aż się świeciło.

— Nic innego, tylko tata ma jakąś lafiryndę — orzekła córka. Wywiad utwierdził podejrzenia. W domu przypuszczono atak frontalny na pana Chryzostoma. Zapytany zniechęca kłó zaci jest ta Zośka z którą włóczy się po Warszawie, pan Chryzostom zaperzył się strasznie i krzyknął:

— Dajcie mi spokój! Sam wiem co robię! Nie mam dwudziestu lat!

— Tata całkiem oszalał — szlochala córka — tata wie co to za jedna? To ja tacie powiem, Balona z taty rohi, wykorzystać

Płynęły dni, nadeszła jesień. W pewien deszczowy wieczór pan Chryzostom słuchał radia i rozmyślał smętnie o swojej samotności. Nagle zadzwonił ktoś do drzwi... Pan Chryzostom spojrzal na zegarek — było już po dziesiątej — zdziwił się kto to może przychodzić tak późno... Otworzył drzwi i aż cofnął się ze zdumienia! Przed nim stała Zofia, ale zmieniona nie do poznania. Oczy miała podkrążone, była blada, z płaszcza ściekała woda. Pan Chryzostom wciągnął dziewczynę do mieszkania i zamknął drzwi.

— Bój się Boga, jak ty wyglądasz — jęknął zdejmując z niej płaszcz.

Zofia milczała, tylko po twarzy ciekły jej łzy. Usiadła na fotelu, wypila herbatę i kieliszek koniaku podany jej przez Pana Chryzostoma i opowiedziała mu historię ostatnich swoich przeżyć. Poznała młodego chłopaka, swego rówieśnika. Wielka miłość, wielkie projekty — ale młody człowiek już zdążył się ożenić i rozjeść. Postanowili więc na razie zamieszkać razem zanim załatwione zostaną formalności.

— Zostawiłam pracę, wyjechałam z Warszawy, a po paru mie-

— Pan jest taki szlachetny... tak mądry... i najlepszy na świecie. A gdyby pan się ze mną ożenił? Miałabym dom i meldunek w Warszawie, męża, a dziecko ojca. Byłabym dla pana dobra i nie byłby pan sam...

Pan Chryzostom zaniemógł. Takiej propozycji zupełnie się nie spodziewał. Jak błyskawica przeleciały mu przez głowę przestrogi córki. Policzył szybko różnicę lat. Przecież Zośka mogłaby być jego wnuczką!

— Nie wiem — jęknął patrząc na dziewczynę — pomyślimy, zobaczymy, muszę się zastanowić...

Zofia jednak nie wyszła już tego wieczoru, ani w ogóle z domu pana Chryzostoma. Zamieszkała tu na dobre, a w miesiąc później związek tej niezwyklej pary został zalegalizowany w Urzędzie Stanu Cywilnego — oczywiście w wielkiej tajemnicy przed otoczeniem. Wkrótce potem urodziło się dziecko — chłopiec, którego prawnie jako ojciec uznał pan Chryzostom. Od Nowego Roku sytuacja rodzinna uległa zmianie. Pan Chryzostom przeszedł na emery-



chce i nic więcej. A tata daje się łapać na lep i na starość głowę traci!

Pan Chryzostom pozostał nieczuły na wszystkie prośby i łzy. Latem pojechał znowu do Ciechocinka — do rodziców Zośki. Po powrocie z urlopu stwierdził, że Zośka jakoś się zmieniła. Powiedziała, że ma zmartwienie, a w tydzień później, że musi wyjechać na kilka dni bo mama zachorowała. Wzięła okolicznościowy urlop, wyjechała i już do Warszawy nie wróciła. Nawet nie napisała do niego kilku słów. Od koleżanek Zośki dowiedział się, że poznała jakiegoś chłopaka i podobno wyszła za mąż. Pan Chryzostom był ogłuszony wiadomością. Posmutniał, zestarzał się, zamknął w sobie...

siącach miał mnie już dość. Wpadła mu w oko inna. Robił awantury, bil mnie. Musiałam usunąć się z jego mieszkania, rozvodu nie przeprowadzał i powiedział, że się ze mną i tak nie ożeni! Do rodziców nie mogłam pojechać — bo jestem w zaawansowanej ciąży... Pomyślałam, że tylko pan może mi pomóc i przyjechałam do Warszawy. Ale co ja dalej zrobię — nie mam pracy, ani mieszkania?

Pan Chryzostom był zupełnie oszołomiony rewelacjami, które usłyszał. Zachował dla Zośki wiele sentymentu, żal mu było serdecznie dziewczyny. Rozważali razem różne możliwości, aż nagle Zośka powiedziała:

turę. Życie układało się znośnie, ale było za mało pieniędzy na troje. Zośka poszła do pracy, a pan Chryzostom przejął obowiązki domowe i opiekę nad malcem. Spokojne życie rodzinne ze starszkiem i niemowlęciem niedługo zadowalało Zofię, która po ostatnich historiach przyszła całkiem do siebie i zaczęła szukać towarzystwa i rozrywek. Ponadto zaczęła pić i w miarę tego jak prowadziła coraz weselsze życie zaniebawiała dom, a w końcu znieawidziła starego męża i dziecko, które było wynikiem nieudanej przygody miłosnej. W końcu zdecydowała — dziecko trzeba oddać z domu, bo za mało miejsca. Odwiozła chłopca do rodziców, któ-

rzy zabrali malego gdyż i do nich doszło, jaka jest atmosfera w domu i to, że pan Chryzostom toleruje bezsilnie wybryki Zofii.

Po załatwieniu tej sprawy Zofia postanowiła skończyć z małżonkiem. Rozwód był już jej niepotrzebny, natomiast bardzo było potrzebne mieszkanie, w którym byłaby sama. Gdy pan Chryzostom wychodził z mieszkania przyprowadzała różnych znajomych, a potem nawet nie krępowała się obecnością męża gdy odwiedzali ją różni amanci. Pan Chryzostom próbował początkowo protestować, ale wtedy Zofia bila go biorąc do pomocy aktualnego adoratora. Terroryzowany starsuszek bał się szukać pomocy nawet u rodzonych dzieci, które obrażone za wyczyn małżeński ojca zerwały z nim wszelkie kontakty.

Bezsilność i lęk przed Zofią, który okazywał pan Chryzostom rozzuchwalili ją do tego stopnia, że pewnego dnia postanowiła ostatecznie pozbyć się „starego dziada”.

— Ty przeklęty pierniku — wołała po pijanemu — lepiej wynoszę się, bo jak nie to cię wyniosą. I wiesz gdzie — na cmentarz!

Pewnego wieczoru wróciła do domu pijana. Zaczęła się awanturzyć, a w końcu chwyciła męża za szyję i zaczęła go dusić. Starsuszek zemdliał. Nagle zapukał ktoś do drzwi. Zofia puściła swoją ofiarę, oprzytomniała i przerażona się widząc, że pan Chryzostom zwisa jej bezwładnie na rękach. Zaciągnęła go pod kran i zlewała tak długo wodą aż odzyskał przytomność. Tego wieczoru pan Chryzostom nie tylko ocknął się z omdlenia, ale i ze złudzeń, że dalsze życie we dwoje jest możliwe. Miał tylko jedno życzenie: odzyskać spokój za wszelką cenę. Zaproponował Zośce rozwód i pieniądze — kilkanaście tysięcy oszczędności jakie posiadał, żeby wyprowadziła się z domu.

— Ja mam się wyprowadzić — ja — ty pewnie całkiem oszalałeś. Idź do córki czy syna, po co tobie stojącemu nad grobem takie mieszkanie? A zresztą to jedyna cena jaką możesz zapłacić za to, że miałeś młodą żonę.

Po różnych staraniach i paru terminach w rok później pan Chryzostom otrzymał rozwód. Stało się to zresztą już w dobre kilka miesięcy od chwili, gdy opuścił swoje własne mieszkanie i wyprowadził się do córki, która sama zdecydowała, że lepiej niech ojciec straci kawalerkę niż, być może, życie. Bo jeśli nawet nie doszłoby do tragedii, atmosfera jaka panowała w domu i traktowanie przez Zośkę pana Chryzostoma, nawet dużo młodszego mogłoby wpędzić do grobu.

O Zośce w domu na ogół się nie wspomina. Tylko czasem w zdenierowanym córka rzuca pod adresem pana Chryzostoma jakąś cierpką uwagę na temat dobrego serca.

— O tak — dobre serce — za to prawie zawsze dostaje się po głowie...

(DIW)

Prawo na CO dzień

PŁATNY URLOP MACIERZYŃSKI

W naszym państwie otacza się troskliwą opieką kobietę pracującą, zwłaszcza w okresie ciąży i po porodzie. Jednym z przejawów tej troski jest urlop macierzyński.

Urlop macierzyński wynosi łącznie 12 tygodni. Czy urlop ten może być wykorzystany dowolnie przez pracownicę?

Otóż według opinii lekarzy najkorzystniejsze dla zdrowia kobiety jest następujące wykorzystanie urlopu:

- 2 tygodnie przed porodem
- 8 tygodni po porodzie
- 2 tygodnie wg uznania pracownicy (przed porodem lub po porodzie).

W zasadzie kobieta jest zobowiązana do wykorzystania 2 tygodni urlopu przed porodem. Jeżeli jednak pracownica nie z własnej winy (np. z powodu przedwczesnego porodu lub w razie błędnego określenia przez lekarza przypuszczalnej daty porodu) nie mogła wykorzystać 2 tygodni przed porodem, to całość urlopu, tzn. 12 tygodni, ma prawo wykorzystać po porodzie.

Może się zdarzyć, że czas trwania urlopu macierzyńskiego będzie przekraczał 12 tygodni, jeśli wyznaczony przez lekarza początek przerwy połogowej przypadnie wcześniej niż 4 tygodnie przed porodem, wskutek czego na okres po porodzie zostaje mniej niż 8 tygodni. Ponieważ organizm kobiety po porodzie jest osłabiony, ustawodawca wg opinii lekarzy ustalił, że kobieta nie może przystąpić do pracy wcześniej, niż w 8 tygodni po porodzie, tzn. kiedy organizm kobiety wróci do równowagi.

Natomiast w przypadku, gdy pracownica znająca termin porodu świadomie nie wykorzystuje przysługujących jej dwóch tygodni przed porodem i pracuje do ostatniej chwili, urlop może ulec skróceniu do 10 tygodni przysługujących kobiecie po porodzie.

Urlop macierzyński przysługuje także kobiecie pracującej w razie:

- urodzenia dziecka martwego, gdy poród był rezultatem ciąży trwającej ponad 16 tygodni,
- porodu niewczesnego (w piątym miesiącu ciąży)
- porodu przedwczesnego (poczynając od szóstego miesiąca ciąży).

Nie przysługuje urlop macierzyński w wypadku poronienia w okresie pierwszych 16 tygodni ciąży, natomiast lekarz udziela zwolnienia z pracy na czas niezbędny do regeneracji organizmu, przy czym zwolnienie to traktowane jest jak zwolnienie z powodu choroby.

Może zaistnieć sytuacja, że pracownica zachoruje przed rozpoczęciem urlopu macierzyńskiego. Otóż pierwszy dzień rozpoczęcia urlopu macierzyńskiego przerywa bieg okresu chorobowego, którego nie zalicza się do urlopu ma-

cierzyńskiego. W przypadku, gdy pracownica zachorowała w czasie urlopu macierzyńskiego, niezdolność do pracy nie powoduje ani przedłużenia urlopu macierzyńskiego, ani innych uprawnień.

Jeśli pracownica zachorowała bezpośrednio po urlopie macierzyńskim, okres niezdolności do pracy liczy się od dnia następnego po urlopie macierzyńskim. Ma to ogromne znaczenie w razie możliwości rozwiązania umowy o pracę bez wypowiedzenia z powodu długotrwałej choroby.

Nie wolno zatrudniać pracownicy w razie trwania urlopu macierzyńskiego, nawet za jej zgodą. Tym samym nie jest dopuszczalne odwoływanie jej z urlopu macierzyńskiego.

Jakie wynagrodzenie przysługuje pracownicy w czasie urlopu macierzyńskiego?

W okresie urlopu macierzyńskiego pracownicy umysłowej przysługuje pełne wynagrodzenie z zakładu pracy, a robotnicy — zasiłek połogowy z ubezpieczenia społecznego. Wynagrodzenie pracownicy umysłowej przysługuje niezależnie od jej stażu przed urlopem macierzyńskim. Pracownica fizyczna natomiast ma prawo do zasiłku połogowego, jeśli 12 miesięcy przed porodem pracowała co najmniej przez 4 miesiące, choćby w różnych zakładach pracy i z przerwami.

Ten 4-miesięczny okres pracy nie jest wymagany od pracownicy, której mąż został powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej, pod warunkiem, że zarobek męża stanowił główne źródło utrzymania rodziny i że podjęła ona pracę w ciągu 30 dni od daty powołania męża do wojska.

Po urlopie macierzyńskim, pracownica przystępuje do pracy. Jak przysługują jej uprawnienia? Otóż matce karmiącej przysługują w ciągu godzin pracy dwie półgodzinne przerwy, wliczane do czasu pracy. W razie karmienia bliźniąt przerwy wynoszą 45 minut. Przerwy te przysługują tylko w razie karmienia piersią i tylko wówczas, gdy pracownica zatrudniona jest co najmniej przez 1 godzinę dziennie. Przy 6-godzinnym wymiarze godzin pracy przysługuje jedna przerwa.

Podstawą do uzyskania tych przerw jest świadectwo lekarskie stwierdzające fakt karmienia dziecka piersią, ponieważ dla dzieci karmionych sztucznie przerwy nie przysługują. Według zaleceń lekarskich okres karmienia piersią nie powinien być dłuższy niż 9 miesięcy.

Jak wiadomo w pierwszym roku po urodzeniu dziecka, niemowlę potrzebuje szczególnej opieki matki. Jeżeli kobieta powraca do pracy zaraz po urlopie macierzyńskim, napotyka częstokroć trudności wynikające z karmieniem dziecka, noszeniem dziecka do żłobka itp., w okresie tym występuje zwiększona absencja matek w pracy związana z chorobami niemowląt.

Aby stworzyć warunki dla wychowania zdrowego pokolenia Rada Ministrów powzięła postanowienie wprowadzenia urlopów bezpłatnych dla matek, z prawem zachowania ciągłości pracy.

W myśl postanowień tej uchwały urlop bezpłatny przysługuje pracownicy zatrudnionej co najmniej przez 12 miesięcy, przy czym do okresu tego zaliczyć można również okres pracy w innym zakładzie, pod warunkiem, że przejście do nowego zakładu nastąpiło z zachowaniem ciągłości pracy.

Urlop bezpłatny przysługuje do ukończenia przez dziecko 2 lat życia, przez okres nie dłuższy niż jeden rok, przy czym powinien to być okres nieprzerwany. Jeżeli pracownica wystąpi o urlop, gdy dziecko będzie miało 1,5 roku, może korzystać z niego tylko 6 miesięcy.

O przyznanie bezpłatnego urlopu pracownica powinna wystąpić na dwa tygodnie przed planowanym terminem rozpoczęcia urlopu, w celu należytego zorganizowania pracy przez zakład, w okresie jej nieobecności.

Pracownica może skrócić urlop bezpłatny, lecz zakład pracy nie zawsze będzie mógł ją zatrudnić natychmiast po zgłoszeniu, zwłaszcza jeżeli na jej miejsce przyjął innego pracownika.

Podjęcie pracy w tym przypadku może nastąpić:

- w każdym czasie, za zgodą zakładu pracy
- najpóźniej w ciągu 30 dni od rezygnacji z urlopu, chyba że na stanowisko zajmowane przez pracownicę przed urlopem przyjęto innego pracownika (należy odczekać okres wypowiedzenia).

Pracownica zachowuje przez cały czas bezpłatny urlop prawo do świadczeń lekarskich, a także prawo do zasiłków rodzinnych.

Po zakończeniu urlopu bezpłatnego zakład pracy obowiązany jest zatrudnić pracownicę na poprzednio zajmowanym stanowisku, lub równorzędnym pod względem rodzaju pracy i wynagrodzenia.

Urlop bezpłatny zalicza się do okresu zatrudnienia, od którego zależy uprawnienie do urlopu płatnego, nagrody jubileuszowej, dodatku za wysługę itd.

Nie uwzględnia się go tylko przy ustalaniu okresu zatrudnienia mającego wpływ na prawo do świadczeń emerytalnych (rentowych) lub ich wysokości.

Jak widzimy ustawodawca wprowadził dla zatrudnionych kobiet szereg przywilejów szczególnych, podyktowanych troską o zapewnienie kobietom warunków pracy dostosowanych do możliwości fizycznych oraz uwzględniających większy ich udział w obowiązkach związanych z wychowaniem dzieci. (WIK)

Podstawowe akty prawne dotyczące urlopu macierzyńskiego

1. Instrukcja Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej z dn. 5.V. 1962 r. w sprawie stosowania jednolitych pojęć dotyczących porodów i urodzeń (M. P. nr 48, poz. 237).
2. Uchwała nr 327 Rady Ministrów z dn. 16.VIII.1957 r. w sprawie przestrzegania porządku i dyscypliny pracy (M. P. z 1962 r. nr 3 poz. 22).
3. Uchwała nr 158 Rady Ministrów z dn. 24.V.1968 r. w sprawie bezpłatnych urlopów dla matek pracujących, opiekujących się małymi dziećmi (M. P. nr 24, poz. 154).

Dolegliwości ludzi starych

LEKARZ RADZI

Zdanie w tytule to bynajmniej nie slogan propagujący jakąś nową „dieta-cud”, czy środek odchudzający. To jest stwierdzenie faktu, na którego poparcie istnieje wiele danych statystycznych i badań naukowych. Otyłość jest schorzeniem, które należy traktować jak najbardziej poważnie. Różne są przyczyny otyłości, ale najogólniej ludzi otyłych podzielić można na dwie grupy. Do pierwszej grupy zaliczamy tych, u których nadwagę spowodowały zaburzenia hormonalne. Do drugiej — ludzi, którzy utyli nadmiernie na skutek nieracjonalnego odżywiania się i siedzącego trybu życia.

W otyłości rozróżniamy trzy stadia — pierwsze, gdy naszych pulchnych znajomych witamy radośnie z okrzykiem — „jak dobrze wyglądasz, poprawiłaś się ostatnio”. W drugim stadium patrzymy na nich z lekko drwiącym uśmiechem, myśląc sobie: „ależ się on (ona) utuczył”. Wreszcie w stadium trzecim pozostaje nam tylko współczuć sapiącemu, zadyszkanemu grubasowi.

Nawet niewielka, parokilogramowa, nadwaga jest szkodliwa dla ustroju. Nie tylko ze względu na ciężar, który musimy dźwigać, ale również na zaburzenia gospodarki ustrojowej powstające na skutek odkładania się tłuszczu.

Otluszczenie ma bardzo niekorzystny wpływ na serce, nerki, naczynia krwionośne, wątrobę i mózg. W miarę wzrastania nadwagi ulega zmianom nawet stan psychiczny człowieka. U ludzi otyłych często występują: apatia, stany depresyjne, łatwe znużenie przy każdym wysiłku.

Ludzie otyli częściej i wcześniej, niż inni, zapadają na mia-

na jakość i różnorodność pożywienia, a nie na jego kaloryczność. Niestety większość uważa, że „dobre i tłuste jedzenie” jest warunkiem zdrowia. Tymczasem człowiekowi staremu, niepracującemu, wystarczy dziennie 1500 do 1700 kilokalorii. W pożywieniu należy przede wszystkim właściwie ograniczyć tłuszcz do minimum. Zamiast tłuszczu wskazane jest

roku życia zdaliśmy sobie sprawę, że nadmierna tusza nas męczy, że pogarsza ona samopoczucie i ogólny stan naszego zdrowia, to nigdy nie jest za późno by rozpocząć walkę o prawidłową wagę ciała. Na wszelkie „cud-diety” może sobie pozwolić człowiek młody, w wieku starszym eksperymentować nie wolno. Wszelkie odchudzanie przeprowadzać można tylko pod kontrolą lekarską. Przyjmując trzeba na wstępie, że kuracja odchudzająca musi być prowadzona powoli, długie miesiące. Gwałtowny spadek wagi u ludzi starych może się fatalnie odbić na zdrowiu. Wystarczy ubytek 1 do 1,5 kg na miesiąc.

Prócz racjonalnego odżywiania, z dużym ograniczeniem tłuszczu, można przeprowadzać raz w tygodniu tak zwane „dni głodowe”. W tym czasie pacjent wypija w ciągu dnia tylko 4-5 szklanek mleka, lub zjada 1,5 kg owoców, najlepiej jabłek. W takim „głodowym” dniu starszy człowiek powinien raczej poleżeć w łóżku, by się zbyt nie osłabiał, a w każdym razie wstrzymać się od wszelkich wysiłków fizycznych. Starszym ludziom, którzy chcą zmniejszyć swoją nadwagę, można zalecić lekką gimnastykę, długie spacery, niemożność wycieczki. Pewne znaczenie w leczeniu otyłości ma również ograniczenie płynów. Ograniczenie płynów zmniejsza wagę ciała. Polega to oczywiście na odwodnieniu organizmu, a nie na likwidacji nadmiaru tkanki tłuszczowej.

Medycyna posiada obecnie wiele środków farmaceutycznych, które powodują obniżenie wagi ciała, mogą one być jednak stosowane tylko pod ścisłą kontrolą lekarza, brane na własną rękę przyniesić mogą dużo więcej szkody niż pożytku. Żadne jednak środki odchudzające nie zastępują zasadniczego — przestrzegania racjonalnej diety.

LEKARZ



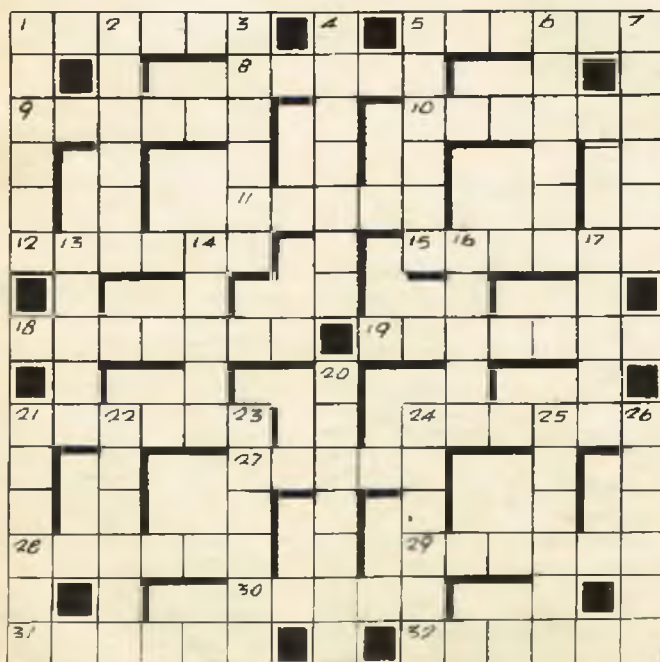
OTYLI
ŻYJĄ
KRÓCEJ!

dzące, częstsze też jest u nich nadciśnienie, a znacznie częściej niż szczupli chorują na kamicy wątrobową i nerkową. Wszelkie choroby infekcyjne u ludzi otyłych z reguły mają cięższy przebieg.

W diecie ludzi starych trzeba przede wszystkim zwracać uwagę

spożywanie dużych ilości owoców i jarzyn.

Ludzie zaczynają wykazywać skłonność do tycia zwykle w piątym dziesiątku lat życia. Stała kontrola wagi i racjonalne odżywianie może na całe życie uchronić człowieka przed nadmierną tuszą. Jeśli jednak dopiero w 60, czy 70



KRZYŻÓWKA 33

POZIOMO:

1) pogoń, 5) kierowca, 8) y, 9) wyz-wisko, 10) barokowa ozdoba, 11) od-twórczyni roli „Beaty”, 12) Czarny Łąd, 15) dawny kawalerzysta, 18) dział medycyny, 19) drukarska for-ma odlewnicza, 21) „nieważna” ryb-ka, 24) woń, zapach, 27) jeden z na-szych tygodników, 28) faniec hisz-pański, 29) naprzykrza się, 30) na-ród, 31) przyrząd, 32) sproszkowany tytoń.

PIONOWO:

1) ułatwia pływanie, 2) wiertło, 3) strunowy instrument muzyczny, 4) błazen, 5) ryba akwariowa, 6) roz-

miar, kształt, 7) szef wyższej uczelni, 13) zakończenie, 14) autor powieści „Grypa szaleje w Naprawie”, 16) twórca, 17) działanie, 20) bastion, twierdza, 21) niewielka, okazowa porcja czegoś, 22) obraza, zniewaga, 23) wyrządzenie komuś przykrości w sposób ostentacyjny, 24) zakładnik, 25) ziarno do ziarnka, 26) wehikuł oryli.

Rozwiązania należy nadsyłać w ter-minie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 33”. Do rozlosowania: komplet książek Wydawnictwa „Odrodzenie”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI
NR 27

POZIOMO: kiks, faul, woal, Uri, konduktor, Oka, Arabski, sto, kole-giata, ule, oktet, Pers, Sara. PIONO-WO: Iwo, kontroler, sad, autokrata, uroki, lira, lumbago ks., atole, skup, mała, iks. ter.

Rozmowy z czytelnikami

Pani Z. K. z Bochni

List Pani stanowi typowy przykład, jak się nie powinno korespondować z kimkolwiek. Pomijamy anonimowość i błędy ortograficzne, bo to drobności wobec zjadliwej treści, nie proponującej nam nic rozsądnego. Nie uznajemy za rozsądną nawet propozycję zawartą w zdaniu: „Zyczylibyśmy sobie, by nas pozostawiono w spokoju i naszego Papieża i nasze dogmaty”. Jest to stanowisko wyjątkowo sekciarskie i antyekumeniczne. Znamienny jest też fakt, że Pani na te tematy właśnie do nas pisze i („serdecznie” nas pozdrawiając) prowokuje do dyskusji.

Szykany ze strony niektórych księży i wyznawców rzymskokatolickich w stosunku do Kościoła Polskokatolickiego wcale nie są „urojone”. Są one — jak najbardziej realne, lecz występują oczywiście tylko tam, gdzie żyją i działają polskokatolicy. (Jeżeli w Bochni nie ma cholery, nie wolno mówić, że jej nie ma wcale, lub że jest „urojeniem”)

Pisze Pani, że „tylko Rzymskokatolicki Kościół jest prawdziwy, bo oparty na Piotrze i Jego następcach”. Dobrze jest słyszeć czasem takie wyznanie. Otrzeźwi niektórych nadgorliwych ekumenicznych w tych wyznaniach chrześcijańskich, które się łączą w ruchu ekumenicznym, poszukując jedności chrześcijaństwa na drodze kompromisu. Poza tym jakże naiwna jest ta religijna wiara, która się wspiera na człowieku, nawet tak czcigodnym jak papież?

Polskokatolicy nie mają takich miejsc pielgrzymkowych jak Częstochowa, lub Lourdes i Fatima, lecz nie dlatego że „nie potrafili ich stworzyć”. Dla Pani miejsca „cudowne” stanowią dowód prawdziwości wiary a dla polskokatolików może to być dowodem sprytu i przedsiębiorczości danego klasztoru lub proboszcza. Jasna Góra to kwestia końca XIV wieku, a Lourdes i Fatima powstały (jako miejsca pielgrzymek) dopiero w ostatnim stuleciu. Czyżby przed XIV wiekiem Kościół Rzymskokatolicki nie był „jedynie prawdziwy”?

Nie znamy teologicznego do-

radcy Pani, ale stwierdzamy stanowczo, że nie ma on zielonego pojęcia o teologii, jeżeli zdołał w Pani wzbudzić wątpliwości w ważność religijnych obrzędów Kościoła Polskokatolickiego. Nie miejsce tu na dłuższe dowody tej ważności. Przypominamy tylko, że watykański Sekretariat Jedności uznał ważność wszystkich sakramentów sprawowanych przez starokatolickich biskupów i księży, a przeciw biskupi i księży polskokatolicki mają apostołską sukcesję właśnie od starokatolików. Stanowisko Pani w tej dziedzinie jest właśnie dowodem prześladowania polskokatolików przez teologów rzymskokatolickich.

Jak się realizuje rozgrzeszenie i zadośćuczynienie przy spowiedzi ogólnej, powinien poinformować Panią miejscowy katecheta rzymskokatolicki, którego w Seminarium uczono, że przed bitwą na froncie, na tonącym statku i w kilku jeszcze innych wypadkach daje się rozgrzeszenie „ogólne” i „zadaje pokutę” też ogólnie. Są to wypadki wyjątkowe, lecz potwierdzają zasadę mówiącą, że rozgrzeszenie „ogólne” po spowiedzi ogólnej jest „ważne”, czyli skuteczne. Dodajmy, że w ostatnich latach spowiedzią ogólną zastąpili spowiedź uszną niektórzy rzymskokatolicki biskupi w Ameryce Północnej. W Ameryce Południowej — z braku księży — stosuje się ją już od dawna.

Daremnie się Pani wysila, by ośmieszyć dobrowolny celibat księży polskokatolickich wiejską scenką wziętą z własnej obserwacji. Oto Pani antycelibatowy argument: „Ksiądz — tatuś, stojąc przy ołtarzu, sprawuje Najświętszą Ofiarę, a w tym wbiega któreś z jego dzieci, ciągnie tatusia za ornat i wrzeszczy: Tato, krowa się cieli, no wiesz, ta krasula”. Skoro żaden z polskokatolickich księży nie ma krów (a większość z księży „wiejskich” to kawalerowie), więc bez trudności można sobie skojarzyć, że wypadek z księdzem polskokatolickim pomylili sobie Pani z księdzem rzymskokatolickim, zwłaszcza że nie przypuszczamy, by tak fanatyczna „rzymianka” weszła do kościoła nierzymskokatolickiego...

Wyjaśniamy też, że Kościół Polskokatolicki nie powstał ani na skutek zerwania z celibatem, ani w walce z papieżem. Powstał w Ameryce, w marcu 1897 r. — z papieżem zerwał 16 grudnia 1900, a celibat odrzucił dopiero w czerwcu 1921 r.

Za „serdeczne” pozdrowienia dziękujemy i prosimy o zaniechanie maczania pióra w żółci w razie przyszłej korespondencji.

Czytelnik z Rzeszowa

Zdaniem Pana człowiek nie ma żadnej duszy i jest „śmiertelny”, czyli wraz ze śmiercią ciała kończy się wszystko — aż do zmartwychwstania ciała przed ponownym przyjściem Chrystusa na Sąd. Nie ma więc istotnej różnicy — zdaniem Pana — pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, a kto uczy inaczej, idzie za „Ojcem kłamstwa”, czyli za diabłem i swoich słuchaczy „prowadzi do nieszczęścia”.

Nie bardzo rozumiemy, o jakim „nieszczęściu” tu mowa. Może chodzi o to, co Chrystus określił jako „każń wieczna” (Mat. 25, 46), lecz z tego hy wynikało, że Chrystus miał „spółkę z diabłem” i ciągnął swoich słuchaczy na „każń wieczną”, gdy rozróżniał w człowieku ciało od duszy (Mat. 10, 28), gdy opowiadał, jak to „umarłego” żebraka Łazarza zanieśli aniołowie „na łono Abrahama” a „zmarły” bogacz był „pogrążony w mękach” i rozmawiał z Abrahamem — gdy przekonywał, że kto „wierzy w Tego, który mnie posłał, ma życie wieczne i nie idzie na sąd, lecz że śmierci przeszedł do życia” (Jan 5, 24). „Tumanii” też ludzi i „unieszczęśliwiał” Ap. Paweł, gdy pisał: „Wiemy bowiem, że kiedy zniszczy nasz przybytek doczesnego zamieszkania, będziemy mieli mieszkanie od Boga, dom nie ręką uczyniony, lecz wiecznie trwały w niebie... Mamy jednak nadzieję i chcielibyśmy raczej opuścić nasze ciało i stanąć w obliczu Pana...” (2 kor. 5, 1—10). Jak to można opuścić ciało czyli umrzeć i jeszcze coś tam bez niego robić, jeżeli nie ma niczego poza ciałem? A czy sensownie brzmi zdanie: „Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci wieniec życia”? Czy można żyć

po śmierci i równocześnie nie żyć? A przecież tak rzekomo uczy Apokalipsa (2, 10) — według Pana.

Nam coś tu nie gra, bo mimo wszystko widzimy w Biblii naukę o ciele i duszy w człowieku. Nie chce się nam wierzyć, by święte Osoby chciały ludzkość unieszczęśliwić. Owszem, wydaje się nam, że nauka o nieśmiertelnej duszy (nie mylić z „diabelską” nauką o nieśmiertelnym ciele!) przyczynia się do uszczęśliwienia człowieka, a na pewno jest wyrazem wiary w ostateczną sprawiedliwość. Daje nadzieję, że jednak — mimo wszystko — ludzi podłych spotka kiedyś kara, zaś uczciwych Bóg wynagrodzi przynajmniej po śmierci.

Pani Henryka T. z Jastrzębia Zdroju

Nie dysponujemy niestety wykazem klasztorów (i zakonów) żeńskich rzymskokatolickich i nie zajmujemy się pośrednictwem przy wstępowaniu do nich nowych kandydatek. Radzimy zwrócić się w tej sprawie wprost do miejscowego klasztoru, co nie musi znaczyć od razu wstąpienia do niego.

Nie wydaje się nam aby istniała konieczność posiadania szkolnego świadectwa dojrzałości przy tego rodzaju podaniach, ale jest niezbędny tzw. posag klasztorny.

Zakony ścisłe (klauzurowe) tym się różnią od innych, że nie wolno z nich wychodzić poza mury — na ulicę. Nazywa się je też kontemplacyjnymi, ponieważ ich celem jest wyłącznie zajmowanie się własną osobą, przy zupełnym zapomnieniu, że za murami żyją miliardy ludzi również przez Chrystusa odkupionych, ale często nieszczęśliwych, bo chorych, głodnych, bezdomnych. Należy przy tym pamiętać, że chociaż Chrystus pochwałił siedzącą u jego stóp Marię („lepszą część obrała”), to przecież ani sam nie mieszkał na pustyni, ani nie doradzał tego swoim uczniom. Nietrudno się domyślić, dlaczego tak postępował. Pozdrawiamy.

Ks. S. W.

Wydawca: STPK Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Kredytowa 4, telefon 27-03-33. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty są przyjmowane do 10 dnia każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę za granicę, która jest o 40 proc. droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23 tel. 20-46-88, konto PKO nr 1-6-100024 (roczna prenumerata wynosi dla Europy 7 dol., 19,70 DM — 23,40 NF; 1,116 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 7 dol.; dla Australii 2,10 £A, 20—4 £E). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Zakładu Wydawniczego „Odrodzenie” Nr NBP III O/M Warszawa, nr 1551-6-35386. Nie zamówionych rekwizytów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca. Skład, łamanie i druk: Zakłady Wkłęsłodrukowe RSW „Prasa” Warszawa, ul. Okopowa 58/72.

Zam. 2140. K-74.

Od Nefretete do „URODY”

TYLKO DLA PAŃ...

My kobiety wszystkie chcemy być ładne, zadbane, urocze... Korzystamy w mniejszym lub większym stopniu z dobrodziejstw, jakie nam daje przemysł kosmetyczny, dzięki wyrobom którego możemy ukryć pewne defekty urody i podkreślić zarazem niektóre jej walory. A co robiły kobiety dawniej, kiedy chciały być piękne? Kiedy chemia nie dostarczała jeszcze kosmetyce tylu przeróżnych środków... Odpowiedzią na to pytanie niech będzie powiedzenie greckiego męża stanu, polityka, twórcy praw — Solona, który już pięćset lat przed naszą erą powiedział: „Jak długo istnieją kobiety, tak długo istnieje kosmetyka”...

Wprawdzie nie zachował się z tamtych czasów żaden ślad podręcznika kosmetyki, jednak według przypuszczeń kolebka kosmetyki były tereny położone nad Nilem. Popiersie słynnej królowej Egiptu — pięknej Nefretete, małżonki Amenofisa Czwartego, jeszcze po trzech tysiącach lat zachowało żywość kolorów, które zdradzają nam, że Nefretete używała szminki — malowała usta, a twarz i szyję powlekała różem, goliła brwi i farbowała rzęsy.

Nie ona jednak wynalazła te „cuda”. Nefretete korzystała już z doświadczeń przeszłości. W grobach i piramidach rozsiąanych między Memfis a Tebami znaleziono lusterka z brązu, kosztowne i cenne tafelki do mieszania szminki, alabastrowe słoiki i naczynia do maści, łyżki do szminek, brzytwy i szczypczyki (pensetki) do regulowania brwi.

Już wtedy kobiety malowały paznokcie ekstraktem henny, na który w uroczyste i świąteczne dni nakładały cienką warstewkę czystego złota. Zresztą warto tu wspomnieć, że szminki, maście i perfumy znalazły właściwie swój początek jeszcze w obrzędach kultowych. Aby przebłagać rozgniewanych bogów lub wyprosić u nich błogosławieństwo dla swoich zamierzeń, kapłani ofiarowywali im wonne kadzidła. Potem jednak kapłani rozszerzyli krąg odbiorców. Z czasem nawet i niewolnice w Tebach do przyborów codziennego użytku zaczęły zaliczać lusterka, słoiki i flaszki z wonnościami. Zresztą i mężczyźni sami nimi nie pogardzali.

Najstarsze znane dzieło z zakresu higieny i medycyny, które powstało piętnaście wieków przed naszą erą — tzw. „papyrus Ebersa” — zawiera między innymi mnóstwo przepisów kosmetycznych w zakresie używania i wyrobu past, maści i szminek z wosku pszczelego, oliwy, loju,

ambry, piżma, a więc tych substancji, których używa się także obecnie w przemyśle kosmetycznym, chociaż np. maść otrzymuje się z nich już sposobem syntetycznym.

Następną kobietą, która po pięknej Nefretete dostała się na karty „literatury kosmetycznej”, była sławna Kleopatra, ostatnia królowa z dynastii Ptolomeuszów. To właśnie ona zalecała biel oliwianą, cynober i siarkę do wyrobu białej, czerwonej i czarnej szminki. Nie wiadomo tylko, czy to ona właśnie wynalazła pomadkę do ust, którą w onych czasach wyrabiano zresztą w dziwny nieco sposób: do wydrążonych łodyg roślin wlewano masę z tłuszczu lub loju, poczerwienioną barwnikiem ślimaka szkarłatnego. Kleopatrze też zawdzięcza się przepis na „maseczkę piękności”, której główne składniki stanowiły gniecione poziomki i mleko, oraz przepis na maseczkę, spreparowaną z mąki, fasoli i lubinu, zgniecionych i zmieszanych z miodem i mlekiem.

W ogóle trzeba powiedzieć, że mleko jako kosmetyk odgrywało w starożytnym świecie niepoślednią rolę. Używano go między innymi do zmywania maseczek i nałożonych na twarz past, oraz do oplukiwania rąk. Warto zaznaczyć na marginesie,

że pomimo wielkiej schłodności w starożytnym Rzymie prawie nie używano mydła. Małżonka Nerona — Poppea, najkosztowniejsza kobieta na dworze cesarskim nie zadowolala się kąpielką, wyposażoną w sprzęty najwyższego luksusu. Codziennie rano kąpała się w srebrnej wannie napełnionej mlekiem oślic. Jeśli dwór wyruszał w podróż, zabierano z taborem trzodę składającą się z pięciuset oślic, ponieważ według ówczesnych twierdzeń codzienna kąpiel w mleku oślic, stanowiła gwarancję wiecznej młodości. Jeśli zawierzyć popiersiom i monetom, które zachowały się do dziś, to istotnie do samej śmierci cesarzowa pozostała piękną kobietą.

Tym, czym dla Egiptu w dziedzinie „przemysłowych sztuczek kosmetycznych” była piękna Kleopatra, dla Rzymu Poppea, tyleż dla bogatego i pełnego przepychu Bizancjum znaczyła cesarzowa Teodora. Błyszczała kosztem swojego narodu (a mistrzyni make-up, strojąca się w drogocenne tkaniny i biżuterię, stosująca przeróżne zabiegi w dbałości o swój wygląd zewnętrzny. Na włosy sypała złoty proszek, na rzęsy i brwi kładła tusz, na paznokcie lake, a na usta szminkę. Całe ciało skrapiała odurzającymi perfumami. Woń, któ-

ra rozścielała cesarzowa Teodora, podobno przewyższała tak często wspomniane „zapachy Arabii”.

Powstające około połowy siódmego stulecia n.e. państwo muzułmanów spowodowało nie tylko rewolucję religijno-polityczną, ale także przyniosło dalszy rozwój... kosmetyki, którą podobno Mahomet osobiście się interesował i popierał. To właśnie arabskim chemikom przypisuje się fabrykowanie pierwszego mydła.

Po tym okresie nastąpiły czasy, w których mniej uwagi poświęcano sprawom doświadczeń. Okres średniowiecza też miał zupełny odwrót od spraw higieny i kosmetyki. Dopiero Renesans i rozkwit handlu światowego, a z nim i nasilenie skłonności do „szerokiego” życia, przyczyniły się do ponownego zwrócenia uwagi na środki kosmetyczne, ale z kolei znowu pod innym kątem widzenia. Sama kąpiel związana z potrzebą czystości wychodziła coraz bardziej z mody. Zwłaszcza w okresie baroku. W okazałych zamkach barokowych i rokokowych na próżno szukałoby się wanny do kąpiei. Miednice do mycia stawały się coraz mniejsze, wzrastało natomiast nadmierne zużycie perfum. Król Francji Ludwik XIV obficie kazał skrapiać swoje szaty zapachem kwiatu pomarańczy, nie tylko z tego powodu, że lubił ten zapach, ale także z tej przyczyny, że w ten sposób chciał zagłuszyć odór i brzydkie zapachy, jakie wydzielaly szaty i odzież jego dworaków.

Prawdziwą potrzebę higieny osobistej, a w tym znaczeniu mydła i wody jako najlepszego kosmetyka zrozumiiano znacznie później, na przełomie XIX i XX wieku.

Nefretete, Kleopatra czy Poppea nie są już dziś idealami. Naszym ideałem fizycznym jest człowiek wszechstronnie zdrowy i zadbane. Nie potrzeba na to zbyt wielu pieniędzy ani czasu, wystarczy konsekwencja. Nowoczesna kobieta ma bowiem do dyspozycji ogromny asortyment przeróżnych i nie zawsze drogich środków kosmetycznych, które racjonalnie i umiejętnie używane doskonale konserwują i podkreślają urodę. Dzisiaj część przynajmniej tajemnic ładnego wyglądu kobiety tkwi w umiejętnym doborze kosmetyków.

KRYSTYNA SZ.

